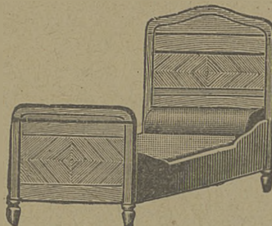
Nr. 2. Poznań, Niedziela dnia 9 stycznia 1910. Rok XIV.

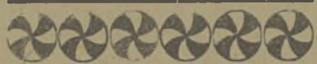
PRACA

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 30 fenygów od jednołamowego wiersza petytowego. Przy częstszem ogłaszaniu udzielamy rabatu a mianowicie:

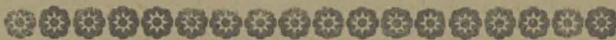
przy czteroraz. (miesięczn.)	"	15%
" kwartalnem 13 ×	"	25%
" półrocznem 26 ×	"	33⅓%
" rocznem 52 ×	"	50%

Ogłoszenia na zewnętrznych stronach okładki obliczamy po 40 fen. od wiersza bez rabatu. **Telefon 97.**

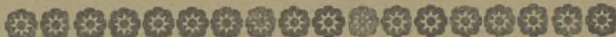
















Str. 33











Czytelniku! Czy zaagitowałeś pomiędzy znajomymi za „Pracą“, którą jeszcze zapisać można na poczcie na bieżący nowy kwartał?

(Kwity między inseratami).

Nr. 2. Poznań, dnia 9 stycznia 1910 r. Rok XIV

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38 Telefon Nr. 97 Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

W sprawie reformy wyborczej w Prusach.

Jak już donosiliśmy swego czasu, przesiedlił prezes rejencyi opolskiej kilku nauczycieli katowickich za karę, że przy ostatnich wyborach komunalnych w Katowicach głosowali za kompromisowymi kandydatami polsko-centrowymi. Remonstracye ukaranych nauczycieli żadnego nie odniosły skutku. Owszem, pouczono ich, że obowiązkiem ich jako urzędników było głosować za kandydatami rządowi miłymi; ponieważ tego nie uczynili, muszą teraz ponosić konsekwencye swego nielojalnego postępku. Lecz nie skończyło się tylko na owych nauczycielach. Także szereg urzędników rzeszy, zajętych przy katowickiej filii banku rzeszy oraz przy tamecznej poczcie, ukarano przesiedleniem za toż samo przewinienie. Frakcya centrowa i Koło polskie natychmiast zgłosiły w parlamencie interpelacye w tej sprawie. Interpelacye te będą przedmiotem obrad zaraz na pierwszem po feryach posiedzeniu parlamentu tj. 11 bm.

Zdarzenia katowickie stanowią jaskrawą ilustracyę t. zw. wolności wyborów w Prusach i są najostrzejszem, jakie można wymyśleć, potępieniem jawności wyborów w państwie, w którem rząd nie stoi absolutnie ponad partyami, lecz solidaryzuje się mniej lub więcej z pewnemi grupami politycznemi podczas gdy inne zwalcza wszelkiemi dostępnemi środkami.

Zasada jawności wyborów sama w sobie nie jest wcale tak zła, jak to się niejednym wydaje. Wymaga ona od wyborców, od czynników rządowych i wogóle od społeczeństwa pewnego zasobu cnót osobistych i obywatelskich, których posiadanie dobroczynnie się zaznacza w życiu narodowem i państwowem. Idealnie rzecz pojąwszy, powiedzieć nawet należy, że jawność wyborów najbardziej licuje z charakterem ludzi mających odwagę przekonania swe należycie uwydatnić, ona też najwydatniej utwierdza w obywatelach poczucie odpowiedzialności za swe czyny polityczne, wyrabia odwagę cywilną i kształci charaktery. Jednakże, aby taki był skutek wyborów jawnych, potrzeba, by wszystkie czynniki w państwie należycie spełniały swą powinność, t. j. by zewsząd zachowywano konieczną w tej mierze absolutną bezstronność.

Gdzie tego nie ma, gdzie zamiast bezstronności i poszanowania wolności cudzych przekonań rządzi przymus i teror, tam jawność głosowania staje się dla słabszych charakterów źródłem najróżnorodniejszych mniej lub więcej nieuczciwych kompromisów z sumieniem, jest powodem wielu przykrości i weksacyj dla ludzi posiadających odwagę swych przekonań, wielu odstrasza od urny wyborczej, a w konsekwencyi powoduje sfałszowanie woli społeczności, wyrażającej się we wyborach.

Naszem zdaniem tylko bardzo kulturalne społeczeństwa, które zdobyły się na wytworzenie prawdziwie bezstronnego rządu, a we własnych obywatelach wypracowały daleko idącą tolerancyę cudzych zapatrywań politycznych, mogą sobie pozwolić na jawność wyborów. W Prusach jawność wyborów zupełnie jest nie na miejscu. Nie dorósł do niej rząd, nie dorosła do niej ludność pruska. Że tak jest, o tem pouczają obfite nader głosy prasy niemieckiej odzywające się po każdych wyborach, a przynoszące wieści o mnogich wypadkach nacisku wywieranego przy wyborach nie tylko przez czynniki rządowe, lecz także przez pracodawców niektórych, przez pewne organizacye społeczne, a nawet przez socyalistów tam, gdzie siłę odpowiednią ku temu posiadają. Także wprost skandaliczna sprawa z urzędnikami z Katowic — jedna z wielu — dostarcza poważnego argumentu przeciwko jawności wyborów w Prusach.

To też wszyscy, którzy walczą o rzetelną naprawę zacofanego i wedle słów Bismarcka najmarniejszego ze wszystkich pruskiego systemu wyborczego, jawności wyborów się domagają. Tak i obecnie, gdy hasło reformy wyborczej w Prusach znów głośniej rozbrzmiewa, liberalna prasa niemiecka powołuje się na zajścia katowickie i apeluje do posłów lib., by z całą energią i z odpowiednim naciskiem żądali wprowadzenia tajnych wyborów w Prusach. Jakie te nawoływania wydadzą rezultaty przyszłość pokazać musi.

Dotychczas wszelkie starania o naprawę systemu wyborczego w Prusach rozbijały się o zatwardziałość rządu i stronnictw konserwatywnych. Jednakże napór reformistów przynajmniej tyle zdołał osiągnąć, że rząd zapowiedział, iż projekt reformy wybor-

czej przedłoży. Z tego, co dotychczas przenikło do wiadomości publicznej, wnosić można, że rządowy projekt reformy nie zadowoli ani zwolenników ani przeciwników reformy. Tych dlatego nie, ponieważ uważają każde naruszenie obecnie obowiązującego systemu wyborczego za zdrożne, tamtych zaś dla tego, ponieważ to, co rząd dać zamyśla, jest ustępstwem tak małoznaczącem, że wprost na kpiny zakrawa. Słychać bowiem, że rząd zamierza zgodzić się tylko na wprowadzenie wyborów bezpośrednich, zachowując ich jawność i nierówność; a także zmiana obecnego podziału okręgów wyborczych ma być wykluczona. Co do nas, to zachowanie dotychczasowego podziału okręgow wyborczych (dla nas względnie korzystnego) nas smucić nie potrzebowałoby. Natomiast jako minimum życzeń naszych należy uważać wprowadzenie tajności wyborów, zabezpieczającej przynajmniej jako tako obywateli przed naciskiem ze strony niepowołanych. Takie bowiem wypadki jak te, które zaszły w Katowicach, żadną miarą za normalne uchodzić nie powinny. I wyborca może mieć zaufanie do takiego tylko systemu wyborczego, który go od podobnych ewentualności uchronić zdolen. To zaś może tylko zasada tajnych wyborów. Obecnie obowiązująca jawność głosowań nie tylko że nie daje wyborcy żadnej gwarancyi, iż z powodu spełnienia swego prawa obywatelskiego nieprzyjemności mieć nie będzie, lecz owszem do rozmaitych nadużyć prowokuje.

Powiedzieliśmy, że niepodobna przewidzieć, jaki będzie los reformy wyborczej. Tyle tylko pewna, że natrafi ona na wielkie trudności tak w izbie posłów jak w izbie panów a także u rządu. Co najgorsza zaś, to ta okoliczność, że sprawa ta mimo wszelkie pisanie w prasie liberalnej i socyalistycznej nie jest u szerokich warstw ludności pruskiej wcale tak popularną, jakby to z głosów prasy sądzić można. Nie chcemy przez to powiedzieć, żeby ludność pruska była reformie przeciwna. Bynajmniej. Ludność tej reformy pragnie, lecz nigdzie się nie możemy dopatrzeć tego prawdziwie żywiołowego ruchu, tej stanowczej i niezłomnej woli narodowej, domagającej się posłuchu dla swych postanowień. Wobec takiego stanu rzeczy nie będzie rzeczą łatwą wydrzeć rządowi i skuzynowanym z nim zacofańcom znamienitszych ustępstw w tej mierze.

W każdym razie dobrze jest, że kwestya reformy wyborczej wchodzi na porządek dzienny w sejmie. Raz zapoczątkowana, sprawa ta toczyć się będzie własnym rozpędem w kierunku postępu. Miejmy nadzieję, że jeszcze żyjąca generacya doczeka się w Prusach tego samego prawa wyborczego, jakie obowiązuje w rzeszy, a wtedy dla nas Polaków jaśniejsze się odsłonią horyzonty.



Z naszych spraw.

Z wiadomości, które ostatnio żywiej zainteresowały publiczność na pierwszy plan wysuwa się znów kwestya obsadzenia mandatu poznańskiego. Jak czytamy w „Dzienniku Pozn.“ zdecydował się pan Chrzanowski ostatecznie na złożenie mandatu do parlamentu, równocześnie p. Dr. Rąbski z Warszawy cofnął swą kandydaturę. Wobec tego szanse posła-robotnika z Poznania znacznie się poprawiły. Niema wszakże jeszcze zgody, co do osoby kandydata. Podczas gdy część prasy ludowej oświadcza się za p. Sosińskim, „Kurjer Pozn.“ wraz z gazetami sobie zaprzyjaźnionemi forytuje kandydaturę p. Nowickiego. Byłoby rzeczą pożądaną, by rychło nastąpiło porozumienie co do osoby kandydata. Co do nas, bardzo jesteśmy radzi, że wogóle kwestya posła-robotnika dojrzała tak dalece, że kandydatura robotnicza w zasadzie znalazła uznanie organów opinii publicznej. Miejmy nadzieję, że jeszcze w ostatniej chwili nie ujawnią się komplikacye dla kandydatury robotniczej nieprzychylne.

Druga sprawa to kwestya udziału Polaków w wystawie wschodnio-niemieckiej.

I w tej sprawie nie ma jednomyślności. Podczas gdy obóz „Kurjerowy“ agituje za zupełnem odsunięciem Polaków od wystawy, „Dziennik“ i inne umiarkowane pisma są zdania, że w sprawie tej należy Polakom pozostawić wolną rękę. My dotychczas w sprawie tej nie zabieraliśmy głosu. Uważamy bowiem, że pisma nie są powołane do decydowania w tak trudnej do sprawiedliwego i korzystnego rozstrzygnięcia sprawie. Sądzimy, że kwestyę tę powinny rozpatrzeć nasze organizacye kupieckie i przemysłowe, ponieważ chodzi tu głównie o sprawy interesujące przedewszystkiem naszych kupców i przemysłowców.

Ponieważ jednak i nas zapytywano o zdanie, przeto nie pozostajemy dłużni odpowiedzi. I tak sądzimy, że skoro to ma być wystawa niemiecka, poniekąd nawet obliczona na reklamę niemieckiej polityki kresów wschodnich, natenczas dla Polaków nie ma interesu jej popierać, a nawet zwalczać by ją należało. Z drugiej strony jednak nie można oczu zamykać na to, że ten lub ów przemysłowiec polski może być wskutek wyjątkowych stosunków zmuszony obesłać tę wystawę. Byłoby więc niesprawiedliwością w takich przypadkach odsądzać danego przemysłowca od czci i wiary. Niechajże się tedy kto może wstrzyma od obsyłania wystawy, lecz niech będą dopuszczone wyjątki od reguły. Nam cała ta sprawa wystawowa jest w najwyższym stopniu niesympatycza. Nie możemy się bowiem dopatrzeć żadnych z niej korzyści, a naprzód wiemy, że tych Polaków, którzy w niej udział wezmą, spotkają tam rozliczne nieprzyjemności upokorzenia. Doświadczenie uczy, że z Niemcami — w naszych przynajmniej stronach — wspólna praca nawet na polu charytatywnem jest niemożliwa, cóż dopiero w innych dziedzinach.

Najważniejsza jednak, jakie stanowisko wobec wystawy tej zajmie publiczność polska. Naszem zdaniem jedynie na miejscu byłby absolutny absenteizm bez względu na to, czy Polacy obeślą wystawę, czy też nie. Kto z Polaków musi lub chce wystawiać, niech wystawia, ale dla Niemców. Polacy mają dość sposobności zapoznawać się z przemysłem polskim na polskich wystawach.

Takie jest zdanie nasze w tej sprawie. Nie taimy też, że uległoby ono natychmiast radykalnej zmianie, gdyby zapewniono Polakom pod względem językowym na wystawie równe prawa z Niemcami.

Póki jednak Niemcy mieszają do spraw ekonomicznych politykę, póty i my z tego odpowiednie musimy wyciągać wnioski i to tem bardziej, o ile nawet ekonomicznych korzyści z wystawy spodziewać się nie możemy.

Zabiegłość cudzoziemców, ich skrzętna pracowitość i przemyślność do umysłów naszych rodaków rzadko przemawiają; ustępujemy im łatwo z pola, i w zawody z nimi rzadko iść chcemy.

Ludwik Górski.

* * *

Gdyby ludzie byli ciałami bez uczucia i woli, życie byłoby obłędem bez celu, wartem tylko rozpusty lub szaleństwa.

Wojciech Dzieduszycki.

* * *



Nowa era parlamentaryzmu

w Austryi.

Z wewnętrznej polityki w monarchii austryackiej podnieść i omówić należy wypadek w dziejach parlamentu wiedeńskiego bez przesady historyczny. Jest nim przeprowadzona zmiana regulaminu obrad Izby posłów w tym kierunku, *aby uniemożliwić wszelką obstrukcyę*. Nie tylko jednak sam fakt reformy regulaminu jest niespodzianką, ale jeszcze większą niespodzianką jest, że przeprowadzili ją obstrukcyoniści w czasie wielkiej walki obstrukcyjnej. Rzecz miała się następująco:

Dotychczas obowięzujący regulamin obrad był niesłychanie przestarzałym. Pochodził z maja 1873 roku. Uchwaliła go jeszcze Izba, złożona z delegatów sejmowych, równocześnie z zaprowadzeniem bezpośrednich wyborów do parlamentu. Wówczas ustalono liczbę członków Izby na 353.

Przez szereg następnych lat regulamin nie wykazywał ujemnych stron. Żadne ze stronnictw nie prowadziło bowiem obstrukcyi. Dopiero od roku 1893 rozpoczęły się orgie obstrukcyjne. Do Izby weszły żywioły ludowe (na podstawie reform wyborczych z r. 1883 i 1897), wszechniemcy, antysemici i młodoczesi, którzy pilnie studyowali regulamin Izby i wynaleźli sposoby obejścia jego przepisów. Od jesieni r. 1897 do 14 października 1899 trwała systematyczna obstrukcya niemieckiej „Gemeinbürgschaft,“ a od r. 1899 do 1905 obstrukcya młodoczechów. W r. 1908 i 1909 wybuchała sporadycznie obstrukcya radykałów i agraryuszy czeskich, Słoweńców i Rusinów. Regulamin z przed 36 laty stał się dla Izby, złożonej z 516 posłów, absolutnie niewystarczającym. Praktyka poprzednich prezydentów rozluźniła nadto jego przepisy. Obstrukcya grupy 20 posłów mogła trwać całe miesiące.

Próby zmierzające w dawniejszych latach do reformy regulaminu zostały zawsze przez grupy radykalne unicestwione. Obstrukcyą posługiwali się na przemian Czesi i Niemcy. Czesi jednak zawsze byli skłonni do reformy. Stwierdzili to czynem w ostatnich dniach.

W środę 15 grudnia wybuchła w parlamencie wielka obstrukcya „Unii słowiańskiej“, grupy najliczniejszej w parlamencie, z powodu odrzucenia przez Niemców i rząd słusznych jej postulatów. Stronnictwa chcące pracować pozytywnie uchwaliły, aby zarządzić *nieustające posiedzenie* t. z. aby parlament obradował bez przerwy w dzień i w nocy, choćby przez dwa tygodnie. W ten sposób chciano znużyć i zwalczyć obstrukcyonistów, a następnie przeprowadzić konieczne ustawy. Tak też zrobiono. Posłowie obradowali, a raczej słuchali mów obstrukcyjnych, całą dobę.

Nagle w czwartek pojawił się wniosek jednego z przywódców „Unii“ ks. Dra Kreka o zmianę regulaminu. Powstało pewne zamieszanie. Wniosek uważano jednak za żart. Obstrukcya trwała dalej.

W piątek 17 grudnia drugi przywódca Unii“ Dr. Kramarz przejął wniosek Dra Kreka, uzupełnił go i postawił jako nagły. *W sobotę przyszedł wniosek ten pod obrady.*

Wreszcie po dyskusyi w nocy z soboty na niedzielę, wniosek Dra Kramarza i Kreka został ogromną większością uchwalony i przeprowadzony. Nieustające posiedzenie Izby po 86 godzinach obrad zamknięto. *Obstrukcya została z parlamentu usunięta.* Niemcom radykalnym wytrącono oręż z rąk i umożliwiono współdziałanie różnych narodów w parlamencie. Uchwalony przez „Unię słowiańską“, Koło polskie, chrześciańsko-socyal. Niemców i socyalistów regulamin oddaje na jeden rok prezydentowi znaczną władzę dyscyplinarną w Izbie. Przewiduje on nawet wykluczenie posła z posiedzeń, usuwa imienne głosowania w sprawach formalnych, przesuwa odczytywanie wpływu (interpelacyi i wniosków) tudzież wniosków nagłych na koniec posiedzenia i t. p. Umożliwia on obrady plenarne wbrew obstrukcyi małych grup poselskich. Zupełnie uniemożliwia zaś koncerty obstrukcyjne.

A jednak są ludzie, którzy są niezadowoleni z takiego obrotu rzeczy, którzy nie lubią parlamentu, gdy on pracuje pozytywnie. Konserwatyści wszystkich narodów Austryę zamieszkujących byli zawsze cichymi wrogami parlamentu ludowego i cieszyli się, gdy ten parlament się dyskredytował wobec ludów, a oni mogli głosić, że powszechne głosowanie nic nie warte. Oni też nie należą do rzędu zadowolonych z obecnego stanu rzeczy w Radzie państwa.

Drudzy niezadowoleni to liberalni Niemcy, z „Neue Freie Presse“ na czele. „Liberalizm“ tych panów zasadzał się zawsze na uciskaniu bezwzględnem mniejszości narodowych. Kiedy te uciskane narodowości zaczęły wydobywać po odrobinie praw im należnych, to liberali niemieccy zawsze mieli w zanadrzu obstrukcyę, jako środek przeciw równouprawnieniu Słowian i zawsze tą obstrukcyą każdoczesnemu rządowi grozili. Obecnie ta broń została im z rąk wytrącona, hegemonia niemiecka jest złamana.

Trzecią grupę niezadowolonych stanowią radykali różnej kondycyi, którzy trzymali się na powierzchni życia publicznego wrzaskami, uprawianemi w parlamencie. Dla tych panów nowy regulamin jest ciosem śmiertelnym.

Wreszcie skończyły się także nadzieje centralistów wiedeńskich, że będą rządzić absolutystycznie paragrafem 14-ym.

Stąd reforma regulaminu dokonana w dniu 18 grudnia 1909 r. zapisze się złotemi zgłoskami w historyi parlamentaryzmu austryackiego. Dla szerokich mas ludu zaświtała nowa nadzieja ustawodawstwa socyalnego, nadzieja dni lepszych!...



Niemczyzna w Galicyi.

Niema chyba kraju w Europie, gdzieby istniało takie nabożeństwo do niemczyzny jak w Galicyi. Po rządzie rosyjskim złożonym, jak wiadomo, w znacznej części z Niemców, polska, przepraszam mówiący po polsku kraj koronny Cislitawski, Galicya stanowczo prym trzyma. Pokolenia dawniejsze wychowane w szkole niemieckiej poznały jej wartość i zaprowadziły w kraju szkolnictwo, administracyę itd. polskie, ale ta polskość ogranicza się najbardziej do mniej lub więcej niedołężnego tłumaczenia z niemieckiego. Tak już same nazwy urzędów: stołeczne królewskie miasto Kraków, c. k. uniwersytet jagielloński, a nawet stowarzyszeń społecznych: Polski związek zawodowy. Tak w języku urzędowym istnieją *powziątki* (Nachnahme) i spostrzeżyny i t. p.

W szkole galicyjskiej uczą języków (oprócz polskiego) niemieckiego, łaciny i greki. Francuski zaprowadzono jedynie w szkole realnej, takich szkół zaś jest zaledwie kilka. Język niemiecki otwiera przystęp do kultury zachodniej. Skutkiem tego Galicyanin widzi wszystko przez niemieckie okulary. Tem się tłumaczy, że w bibliotece jagiellońskiej 65 procent czasopism mają niemieckich, że w bibliotece podręcznej w dziale przyrodniczym na 61 książek polskich jest 360 przeszło niemieckich, a 8 w innych językach.

W szkołach czeskich język niemiecki nie jest obowiązkowy, to też Czesi coraz bardziej wyzwalają się z pod

wpływów niemieckich, kiedy Galicya kulturalnie niemczeje coraz bardziej. Poprzednie pokolenie młodzieży czytywało pół na pół książki francuskie i niemieckie, dzisiejsze studyuje 3 razy tyle niemieckich co francuskich. Galicyanin bowiem, o ile zna jaki obcy język, zwykle zna tylko niemiecki.

W szkołach galicyjskich używają atlasu, podług którego Poznań i Warszawa są miasta niemieckie!

W Galicyi istnieją dwa gimnazya niemieckie przez kraj utrzymywane, kiedy w Wiedniu np. ustawa krajowa zabrania szkół publicznych polskich, a nawet utrudnia nadzwyczaj utrzymywanie szkół prywatnych. — Czy można sobie wyobrazić przedstawicielstwo jakiego narodu, co bez protestu pozwoliło na ustawę taką a nawet popierało rząd ją forsujący? Ale nie pragnę tu wyliczać litanii grzechów Koła wiedeńskiego przeciwko sprawie polskiej i słowiańskiej. Dobrze, że w jedenastej godzinie uczyniło coś rozsądnego nareszcie.

Prezydent miasta Krakowa p. Leo wychrzta, ongi profesor c. k. uniwersytetu jagiellońskiego, prezes frakcyi demokratycznej w Kole polskiem itd., nakazał urzędnikom magistrackim krakowskim, aby z interesentami z poza Galicyi korespondowali po niemiecku. Jakaś firma czeska pismo takie odesłała z uwagą, że po niemiecku nie rozumie. Tableau!

Zdawałoby się, że społeczeństwo galicyjskie uczyni cośkolwiek, że bodaj zaprotestuje, że postara się o zmiany. To samo społeczeństwo, ta sama prasa, która woła gwałtu, kiedy dzieci polskie na Śląsku wolą iść do szkoły czeskiej, niż do niemieckiej, milczy.

Zdarza się, że oficerowie Polacy w Krakowie rozmawiają ze sobą po niemiecku, uchodzi to podobno za dobry ton!

Z gazet krakowskich dowiedzieć się można, że Brno po polsku nazywa się Brünn. Most — Brüx, Rjeka — Fiume. itp. Kinematografy krakowskie wywieszają plakaty z napisami także niemieckiemi, dzięki temu prawdopodobnie publiczność tak tłumnie napływa do nich.

Na zakończenie jeszcze próbka stylu galicyjskiego:

„Sprawozdanie *rozpada* się na 3 ustępy i kończy się 10 wnioskami... Nienormalny przyrost frekwencyi w gimnazyach naszych *doznaje* w ostatnich 2 latach *pewnego osłabienia,* jakkolwiek i teraz jeszcze *stwierdzić można,* iż Galicya w stosunku do ludności ma zbyt liczny kontyngent uczniów gimnazyalnych, tak, że tylko Bukowina z nią *iść może w porównanie*... Niestety *znaczna część osłabienia tego przyrostu idzie na rachunek* szkół realnych; cyfra 683 powstaje bowiem stąd, iż podczas gdy przyrost w gimnazyach wynosił 779, to szkoły realne wykazują ubytek 96 uczniów. Dzięki równoczesnemu *przybytkowi* nowych zakładów i klas równorzędnych, *przepełnienie zmniejsza się i można żywić nadzieję, że dozna ono dalszego zmniejszenia* — naturalnie, jeżeli napływ młodzieży nie będzie nadmiernym.

Do licznych powodów, dla których *wypadałoby życzyć* sobie, aby przyrost młodzieży gimnazyalnej *obracał się w granicach lepiej odpowiadających* naszym stosunkom i potrzebom, dodać należy znamienny a smutny objaw, jakim jest znaczny ubytek uczniów w ciągu roku itd.“

Tak pisze nie królewiecki „Przyjaciel Ludu“ redagowany przez Niemców, lecz „Muzeum“, czasopismo poświęcone *sprawom wychowania i szkolnictwa* (sic!) wydawane przez Tow. Nauczycieli Szkół Wyższych, przez to samo towarzystwo, które wzięło sobie za zadanie, podnieść naukę języka polskiego w szkołach naszych.

K.



Listy od przyjaciół.

Z Galicyi, 2 stycznia.

Wprawdzie dawno już nie dawałem znaku o życiu w naszej dzielnicy, lecz przyznam otwarcie, pracą społeczną nie bardzo pochwalić się możemy. Obecnie pora zimowa, nadająca się bardzo ku temu, puściła cały aparat oświatowy w ruch. A szerzą oświatę między ludem przedewszystkiem trzy stowarzyszenia jak „Tow.Szkoły ludowej“, Tow. Oświaty ludowej“ i „Tow. Kółek rolniczych“. Najwięcej czynny udział w pracy oświatowej bierze „Tow. Szkoły ludowej“ i może pochwalić się już znacznemi wynikami. W szeregu postępuje godnie „Tow. Kółek rolniczych.“ szerząc między ludem naszym szczególnie wiadomości ekonomiczne i starając się o podniesienie moralne i materyalne ludu polskiego. Wzór bierze z Waszych Kółek rol. i rok rocznie może pochlubić się coraz większemi rezultatami.

Życie polityczne nieco w zastoju. Uprawiają je tylko nielicznie politycy po wiecach i swych organach. Nie dziwota! Wszak do wyborów jeszcze daleko, a ostatnia zmiana regulaminu w izbie poselskiej odebrała niektórym wiecznym opozycyonistom resztę animuszu. Zresztą i my trzeźwiejemy nieco. Przychodzimy do przekonania, iż czas już porzucić politykę — niezgody i nienawiści — a wziąć się do polityki realnej — ekonomicznej — do polityki czynów. Lud zrozumiał, iż nie czas domagać się od swych posłów „obiecanek“, lecz sam wziął się do pracy do wywalczenia sobie lepszej przyszłości. To też coraz więcej garnie się do oświaty, łączy się w spółki i stowarzyszenia.

Wasza „Praca“ zyskała sobie już markę, jako pismo nader religijne i patryotyczne. To też rozchodzi się coraz więcej w naszej dzielnicy. A śmiało mogę twierdzić, że u nas takiego pisma stanowczo brak. Nasza prasa ludowa szpalty swe zapełnia wzajemnemi napaściami na siebie i nie może zaspokoić potrzeby swych czytelników.

Obserwator.

Klasztor OO. Reformatów
w Poznaniu.

Skreślił
Dr. Stanisław Karwowski.

5)

(Ciąg dalszy.)

Rzeźbione popiersia patronów swoich, które umieszczono na kolumnach, ofiarowali w tym czasie kościołowi reformackiemu *Teodor Koźmiński,* wojewodzic kaliski, (także patrona ojca swego Macieja), *Wiktorya z Skaławskich Lipska,* kasztelanowa lędzka, *Ludwika Koźmińska,* wojewodzina kaliska, *Franciszka Koźmińska,* wojewodzicowa kal., *Wawrzyniec Swinarski,* kustosz katedralny poznański, *Antoni Łayszczewski,* kanonik katedralny poznański i senior kapituły, *Stefan Skrzebowski,* kanonik katedralny poznański, *Ludwik de Mathy,* kanonik katedralny poznański, a *Józef Skóraszewski,* kasztelan przemęcki, obraz ś. Piotra Regalati, wyznawcy, resztę zaś popiersi, jako to ś. Franciszka, ś. Piotra z Alkantary i ś. Kaźmierza sprawił gwardyan Sikorski kosztem klasztoru.

W r. 1755 wyszło w prowincyi wielkopolskiej rozporządzenie, aby gwardyanie w każdym klasztorze wystawili piece do pieczenia chleba, co też gwardyan Sikorski wykonał. Piec chleb rozpoczął braciszek Piotr Mirowski i to z wielkim pożytkiem klasztoru, bo okazało się, że, gdy piekarze miejscy oddawali poprzednio z miary mąki 22—24 bochenków chleba, Mirowski z takiej samej miary wyrabiał bochenków 32.

Za Sikorskiego zostali tercyarzami Piotr Płonczyński, panna Barbara Płonczyńska, Katarzyna z Płonczyńskich Mieszkowska, Wojciech Bardzki z żoną Teresą, Antonina Miłaczewska, Stanisław Chociszewski z żoną, Piotr Koźmiński, chorąży wschowski, Maciej Pluciński, proboszcz usarzewski, i inni, nawróceni zaś zostali przez Strzybrskiego 14 letnia Elżbieta i cukiernik Jan z Gośliny z żoną.

Następca Sikorskiego *Eleazar Świerczyński* wykończył 1758 r. budowę miel-

cucha z pomocą *Teodora Koźmińskiego*, wojewodzica kaliskiego, syndyka apostolskiego klasztoru, dał w wielu miejscach nową podłogę z łat sosnowych i kazał urządzić przez rurmistrza Niemca studnią do mielcucha.

W r. 1759, dnia 29 marca odprawiono w kościele reformackim bardzo solenne egzekwie za duszę Teresy z Dąmbskich Lipskiej, a w następnym dniu aniwersarz za duszę jej męża, oboźnego Prokopa Lipskiego.

W tymże roku, dnia 18 maja, wieziono w procesyi ciało zmarłego dobrodzieja klasztoru *Augustyna Działyńskiego*, wojewody kaliskiego, z Konarzewa przez Poznań do Pakości. Procesya rozpoczynała się od kościoła ś. Marcina: najprzód szły wszystkie bractwa miejskie, potem wszyscy zakonnicy, z wyjątkiem tych, którzy nie zwykli byli chodzić w procesyi pod krzyżem, towarzyszyli jednak bez krzyża, potem całe duchowieństwo kolegiat i katedry. Kondukt prowadził Józef Pawłowski, biskup niochineński, oficyał generalny poznański. Przy ś. Marcinie wygłosił mowę generalny kaznodzieja OO. Bernardynów, przed bramą zaś kościoła reformackiego jeden z OO. Reformatów, poczem uczestnicy rozeszli się, OO. Reformaci jednak odprowadzili ciało aż za Zawady, a czterech aż do Pakości w dowód wdzięczności.

Po pogrzebie udał się z rozkazu gwardyana sławny w owym czasie kaznodzieja kolegiaty ś. Mikołaja, Reformat poznański *Rafał Lewandowicz* do Konarzewa celem oddawania posług duchownych wdowie po wojewodzie Augustynie Działyńskim, atoli tam po wygłoszeniu trzech kazań na Zielone Świątki dnia 5 czerwca tegoż roku śmierć go zaskoczyła. „Trudno wypowiedzieć — zapisano w Księdze klasztornej — jak piękne były jego kazania.“

Wkrótce potem umarł w Gotartowie oficyał Józef Pawłowski. W eksportacyi dnia 19 września 1759 r. z Gotartowa do kościoła kolegiackiego ś. Maryi Magdaleny w Poznaniu szli od ś. Jana po obu stronach trumny OO. Reformaci, a od katedry, gdzie celebrował Józef Kierski, sufragan poznański, w asyście dwóch opatów, nieśli do owej kolegiaty trumnę i tak samo nazajutrz do grobu.

W tymże roku umarł 28 lipca zakrystyan klasztoru poznańskiego Bonifacy Masse, rodem Francuz, w bardzo podeszłym wieku. Po śmierci ukazywał się zakonnikom to w infirmeryi, to w zakrystyi i dopiero gdy odprawiono za duszę jego wigilie i mszę śpiewaną, przestano go widywać.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiadomości.

— **Odebraliśmy z różnych stron jeszcze po Nowym Roku od Czytelników liczne życzenia noworoczne, więc składamy za nie ponownie skromne, lecz serdeczne: „Bóg zapłać!“**

Również gorące słowa uznania dla naszego pisma przyjęliśmy z wielkiem zadowoleniem.

Szczęść Boże w Nowym Roku naszym Czytelnikom, Przyjaciołom, Zwolennikom i Współpracownikom.

Redakcya.

— **Czytelników naszych prosimy uprzejmie, ażeby przy wszelkich zakupnach powoływali się zawsze na inseraty, zamieszczone w „Pracy.“**

— **Tylko stałą i wytrwałą agitacyą można rozpowszechniać gazetę, dla tego prosimy Szanownych Czytelników naszych, aby przy każdej sposobności sąsiadów i znajomych do zapisywania sobie „Pracy“ zachęcali. „Praca“ jest najodpowiedniejszem dla rodzin illustrowanem pismem tygodniowem.**

„Pracę“ wciąż jeszcze zapisywać można na poczcie na bieżący kwartał. Kwity pocztowe zamieszczone są między ogłoszeniami.

— **„Straż.“** Jak już w komunikacie z dn. 21-go z. m. i r. donosiliśmy, został w miejsce dotychczasowego skarbnika p. St. Pfitznera, który urząd swój złożył, wybrany związkowym skarbnikiem „Straży“ p. dr. Celestyn Rydlewski w Poznaniu, przy ul. Szkólnej nr. 10 (Schulstr.) Do niego prosimy adresować wszelkie przesyłki pieniężne. Korespondencye zaś przeznaczone dla biura „Straży“ prosimy od 1-go stycznia 1910 adresować: Dr. Franciszek Schroeder Poznań — Posen. „Straż.“. Biuro „Straży,“ otwarte codziennie od 12—2 w południe i od 5 i pół do 6 i pół wieczorem, w niedzielę od 12—1, znajduje się w dotychczasowem miejscu przy Alejach 18 (Wilhelmstr.) Numer telefonu 1640.

— **Krobia.** Tuteisze Towarzystwo gimnastyczne „Sokół“ urządza w niedzielę, dnia 9-go b. m. na sali p. Pomorskiego wieczornicę z wielce urozmaiconym programem. Początek o godzinie 8-mej. Po przedstawieniu zabawa z tańcami.

Zarząd.

— **Szamotuły.** Staraniem Towarzystwa kobiet pracujących w handlu i konfekcyi „Oświata“ w Szamotułach odbędzie się na sali p. Gieremka 5, 6 i 7-go lutego 1910 r. wystawa robót kobiecych, obejmująca wszystkie gałęzie przemysłu domowego. Zachęcając panie nasze gorąco do obesłania tejże wystawy, prosimy równocześnie panie z powiatu, o nadesłanie rzeczy stojących w związku z zanikającym coraz więcej strojem szamotulskim i to takich, których już teraz rzadko, albo wcale nie widać, a warte są, żeby je wyciągnąć z pyłu zapomnienia. Z wystawą połączony bufet zimny, z którego dochód przeznaczony na zawiązującą się Czytelnię dla kobiet.

Roboty prosimy przesłać, albo oddać na ręce pp. Knie, Szydlarskiej, Witkowskiej i Zwierzyńskiej, najpóźniej do 25-go stycznia roku bieżącego.

Bliższych szczegółów udzieli ks. Putz Szamotuły (Samter).

Zarząd „Oświaty.“

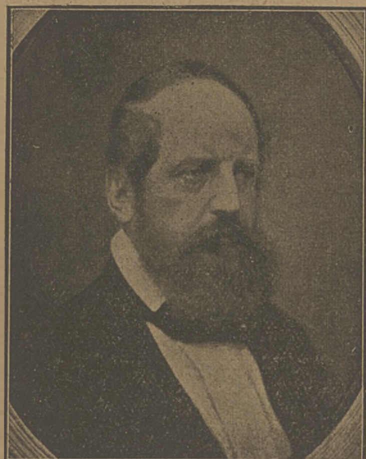
Nekrologia.

† **Ś. p. Paweł Smyczyński,** dnia 30-go z. m. w Poznaniu w 72-im roku życia. — **Ś. p. Feliks Witkowski,** dnia 28-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 47. — **Ś. p. Michał Janasik,** dnia 30-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 46. — **Ś. p. Bartłomiej Mędlewski,** ojciec księdza dziekana Mędlewskiego z Parkowa, dnia 31-go z. m. w Parkowie. — **Ś. p. Walenty Budnikowski,** dnia 31-go z. m. w Wągrówcu, licząc lat 69. — **Ś. p. Pelagia z Urbaniaków Szydłowska,** dnia 2-go b. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Władysław Kłaczyński,** nauczyciel, dnia 2-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 53. — R. i. p.



Jubileusz „Ziemianina.”

„Ziemianin“, pismo rolnicze, organ Centralnego Tow. Gospodarczego w W. Ks. Poznańskiem, wydał z powodu swego 60 letniego jubileuszu istnienia dzieło jubileuszowe, zawierające historyę założenia i rozwoju pisma. Wyjmujemy z niego kilka szczegółów interesujących szerszy ogół.



Wojciech Lipski, redaktor „Ziemianina“ od 1850—1855.

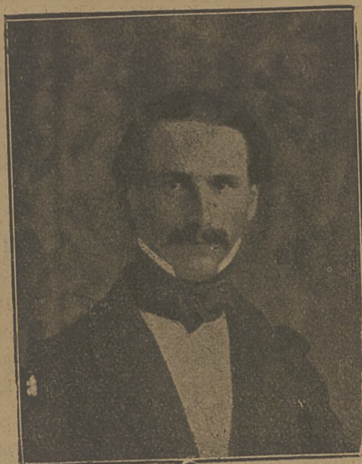
Pierwszymi założycielami i redaktorami „Ziemianina“ byli: Wojciech Lipski, od r. 1850 do 1855 oraz Włodzimierz Wolniewicz od r. 1850 do 1868. Później redagowali pismo to Ignacy Sczaniecki, Kamil Zakrzewski Antoni Rose, dr. Józef Szafarkiewicz, Maksymilian Jackowski i Kazimierz Koszutski. Od r. 1904 jest redaktorem „Ziemianina“ p. dr. Wacław Swinarski.

Historya „Ziemianina“ jest najściślej połączona z dziejami rolnictwa wielkopolskiego. Przeglądając dawne roczniki, widzimy, ile trudu zadawali sobie kierownicy pisma, aby rozbudzić wśród ziemiaństwa wielkopolskiego ducha łączności, jak gorąco nawoływali do zakładania towarzystw rolniczych, widząc, że tylko wspólna praca owoce wydać może.

I za ich staraniem zbudził się duch. Powstały tow. rolnicze, najpierw pojedyńczo, aż wreszcie złączyły się w jedno Centralne Towarzystwo. „Ziemianin“, wychodzący najpierw jako miesięcznik, później jako kwartalnik, zaczął od r. 1860 wychodzić jako tygodnik. Do najwybitniejszych współpracowników jego należał ś. p. Maksymilian Jackowski, którego największą zasługą jest zaopiekowanie się kółkami rolniczemi.

Pierwsze Kółko rolnicze zawiązało się w roku 1887 w Dolsku z zapoczątkowania włościanina gospodarza Dyonizego Stasiaka z Księginek. Z kolei powstawały potem podobne związki, lecz nie mając trwałego gruntu i potrzebnej opieki, zanikały. Wówczas to w „Centralnem Towarzystwie Gospodarczem“ w Poznaniu, jeden z najczynniejszych jego członków ś. p. Maksymilian Jackowski, zwrócił uwagę na ten ważny objaw samopomocy ludowej i poruszył potrzebę zaopiekowania się ludem. Po różnych próbach i usiłowaniach bezowocnych, ś. p. Maksymilian Jackowski dnia 28-go lutego 1873 roku na walnem zebraniu „Centralnego Towarzystwa Gospodarczego“ oświadczył gotowość podjęcia się bezinteresownie organizacyi Kółek i kierownictwa niemi. Opiekę tę przyjęto naturalnie jednomyślnie i z uznaniem. Pojmowano już ważność tej usługi, ale nikt wówczas przewidzieć jeszcze nie mógł, jakie obfite owoce wyrosną na tej niwie.

W pierwszych zaraz latach słabe dotąd zawiązki Kółek rolniczych



Włodzimierz Wolniewicz, redaktor „Ziemianina“ od r. 1850—1855 i od 1867—1868.

wzmogły się i nabrały tężyzny, a równocześnie nowe wyrastały. W końcu 1873 r. było Kółek 32, w następnym 43, w 1875 r. 61, w 1876 r. 104, w 1901 r. 216, a obecnie jest ich przeszło 270 i więcej jak 12 tysięcy członków.

Praca Kółek była zbawienną i dała plon bujny. Kółka polepszyły kulturę rolniczą u włościan i wprowadziły ją na drogę takiego postępu, że wytwórczość roli zwiększyła się o 100 procent. A w miarę umiejętnego uprawiania ziemi, rosło przywiązanie do ojczystego zagonu i utrwaliło się przekonanie o wielkiem zadaniu obrony ojcowizny.

W tworzeniu i opiekowaniu się tą niezmiernie doniosłą instytucyą i „Ziemianin“ przyjmował żywy udział. Słusznie więc pisze Zarząd Centr. Tow. Gospodarczego w wydaniu jubileuszowem, że 60 rok istnienia jest wymownym dowodem, iż „Ziemianin“ sumiennie uprawiał niwę wiedzy rolniczej i że dobre w nią siał ziarno.

W dniu jubileuszowym i my przyłączamy się do życzeń pomyślności, wyrażanych ze wszystkich stron bratniemu pismu. Oby i nadal rozwijało się jak najlepiej!



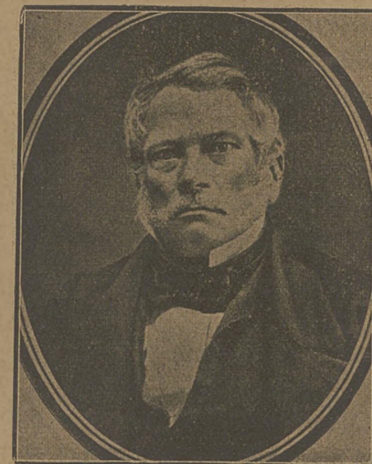
Dr. Stanisław Łabendziński.

Wykłady popularne.

I. B.

Jakiej postaci jest ziemia?

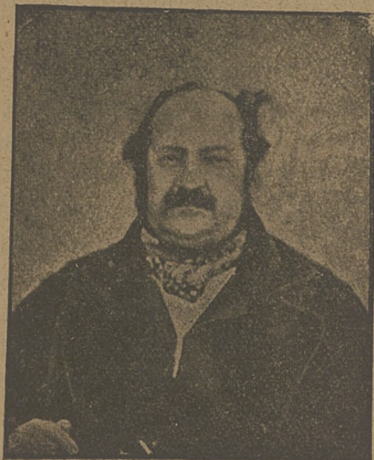
Gdybyśmy filozofów z przed lat tysiąca, najmędrszych ludzi Grecyi i Rzymu, i późniejszych zachodniej Europy cywilizowanej, byli zapytali, jaką postać ma ziemia nasza, byliby oni z całą pewnością odpowiedzieli: płaszczyzny. Dziś jednak każde dziecko, do szkoły uczęszczające, jest innego zdania i twierdzi z całą stanowczością, że kuli. I słusznie. Bo choć na oko wydaje nam się ziemia, jakoby była olbrzymią płaszczyzną, której wzrokiem objąć nie można, to jednak dowodów na to, że ziemia nasza nie jest płaszczyzną, tylko kulą, jest tyle i tak pewnych, że nikt już dzisiaj o prawdziwości tego zdania wątpić nie może. Skoro bowiem wznosimy się na jakiś wysoki wierzchołek, n. p.



Ignacy Sczaniecki, redaktor „Ziemianina“ od r. 1856—1859.

wieżę kościelną, górę, lub podnosimy się balonem w powietrze, tak że budynki, drzewa i inne przeszkody nie zasłaniają oku otoczenia, widzimy wolny widnokrąg zawsze w postaci koła, co wedle zasad matematycznych jest tylko przy kulistej postaci ziemi możliwem. Również nie moglibyśmy sobie inaczej wytłomaczyć znajomego nam faktu, że przy zbliżaniu się do jakiegoś miasta

zawsze widzimy z daleka nasamprzód czubki wież wysokich lub kominów, a dopiero za przybliżeniem się odsłaniają się niższe części wysokich budynków. Jest to tylko możliwem, jak każdy przy bliższem zastanowieniu się odgadnie, jeśli powierzchnia ziemi nie jest płaską, lecz kulistej, okrągłej postaci. Dalszym dowodem na to, że ziemia jest kulą, jest to spostrzeżenie, że ziemia wytwarza na księżycu zawsze postać sierpa, znajdując się w postawie pomiędzy nim a



Kamil Zakrzewski. redaktor „Ziemianina“ od r. 1856—1859.
(Patrz artykuł: Jubileusz „Ziemianina.“

słońcem. Tylko zaś przedmiot okrągły może dać cień okrągłą, nigdy zaś płaski lub kańciasty. Toć i słońce, księżyc i gwiazdy, jak o tem za pomocą szkieł powiększających t. zw. lunet lub teleskopów przekonać się możemy, są postaci kuli, więc prawdopodobne już z góry jest, że i ziemia nasza, będąca też tylko planetą t. j. gwiazdą, wyjątku stanowić nie będzie. Wiedziano o tem wszystkiem już dawno, już przed Chrystusem, a jednak dlaczego przeświadczenie błędne, że ziemia nie jest kulą, tak długo mogło przetrwać, że jeszcze w średnich wiekach o niem powątpiewano? Dla braku otóż namacalnego przekonania się. Znaną była ludziom cywilizowanym ówczesnym tylko mała część naszej ziemi, zaledwie części Europy, Azyi i Afryki były w ogólnych zarysach (i to jeszcze niezupełnie) znane. Ameryka zaś i Australia oraz kraje podbiegunowe wcale jeszcze nie były odkryte. Kolumb więc pierwszy przez wiekopomną swoją podróż 1492 r. i następcy jego, dali oczywisty dowód o kulistej postaci ziemi, a Cook, który w r. 1770 pierwszy objechał ziemię wkoło, może się poszczycić, że i największych niedowiarków o prawdzie możliwości tej przekonał. Dziś już oddawna istnieje stała komunikacya parowców naokoło ziemi, i każdy wyjeżdżający z któregokolwiekbądź portu morskiego w jednym kierunku, w przeciągu 3 miesięcy podróży może dobić do niego z drugiej strony świata. Tem więc, że kula nasza ziemska tak ogromnych jest rozmiarów, że i nam na oko wydaje się być płaszczyzną i krzywizny kuli wcale wzrokowi naszemu nie dozwala się dopatrzeć, trzeba sobie wytłomaczyć, dla czego ludzie tak długie wieki co do postaci ziemskiej byli w błędzie. Obwód największego koła kuli ziemskiej (a więc np. długość równika czyli ekwatora) wynosi bowiem 40 milionów metrów, czyli 40 tysięcy kilometrów lub 5200 mil, a z powierzchni do środka ziemi (promień kuli) jest przeszło 800 mil, wobec których to wielkości takie przestrzenie, jak głębiny morskie lub wierzchołki gór (niewiele ponad jedną milę), lub odległość widnokręgu (1 do 2 mil) są znikomemi. Niektóre okolice kuli ziemskiej coprawda do dziś dnia jeszcze są nam nie zna-



Antoni Rose, redaktor „Ziemianina“ od r. 1860—1861.
(Patrz artykuł: Jubileusz „Ziemianina.“)

ne, są to okolice podbiegunowe (mimo odkrycia w roku zeszłym przez Cooka i Peary'ego bieguna północnego), lecz o ogólnem przeświadczeniu, że i w tych (północnym i południowym kierunku) ziemia tworzy postać kulistą, nikt już dzisiaj nie wątpi. Co więcej, na mocy pewnych fizykalnych dowodów przekonano się, że kula ziemska nie ma w rzeczywistości postaci prawdziwej kuli matematycznej (t. j. że wszystkie punkty na powierzchni równie daleko są od środka kuli odległe), lecz że jest u biegunów spłaszczoną czyli tworzy t. zw. sferoid. Dla tego też badacze i podróżnicy do biegunów z całą stanowczością mogą oznaczyć dokładnie miejsce, gdzie jest biegun północny, t. j. ten jedyny punkt na kuli ziemskiej, gdzie we wszystkich kierunkach jest południe. — Mimo spłaszczenia, jakie kula ziemska u biegunów posiada, mógł Cook dokładnie biegun północny oznaczyć, dokładnie coprawda w obrębie kilku metrów, z powodu niedokładności pewnej przyrządów swych mierniczych.



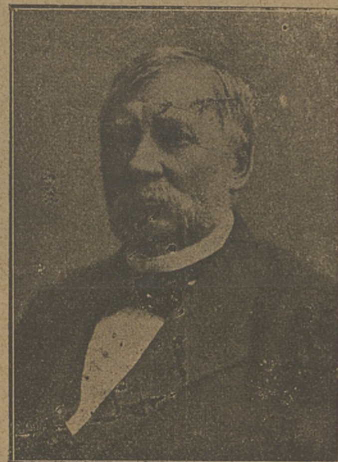
Pouczające liczby.

Z powodu narzekań prasy rosyjskiej na „ucisk polskich panów“ w Chełmszczyźnie pisze „Ziemia Lubelska“:

„Jeżeli skargi na ucisk polski miały nawet kiedykolwiek uzasadnienie, — jakże błogo wygląda ten ucisk wobec tego, co się działo we wnętrzu Cesarstwa. Nie szukając daleko, znajdujemy wyborną ilustracyę owych stosunków w dziejach kryminalistyki rosyjskiej, gdzie za zatargi chłopów z dworem, — skazywano ich na Syberyę całemi tysiącami, podczas kiedy z gubernij zachodnich, gdzie stan ziemiański tworzyli niemal wyłącznie Polacy, wypadki podobne były zjawiskami niesłychanie rzadkiemi. Jako dowód tego, co mówię, powołuję się na wydane w r. 1871 dzieło S. Maksimowa „Sibir i katorga“, gdzie na str. 342—349 tom II, znajdujemy cyfrowe dane o tych skazańcach.

Oto co nam mówi Maksimow:

Za przewinienia przeciwko panom, oraz za zbrodnie na tle zatargów dwo-



Dr. Józef Szafarkiewicz, redaktor „Ziemianina“ od r. 1861—1867.
(Patrz artykuł: Jubileusz „Ziemianina.“)

ru z włością dokonane, zesłano na Syberyę w ciągu okresu 32-letniego od r. 1827—1858 włącznie, następujące liczby skazańców:

Z gubernii moskiewskiej	658
„ razańskiej	579
„ saratowskiej	557
„ tambowskiej	526
„ kurskiej	514
„ woroneskiej	402
„ charkowskiej	317
— — — — —	— —
„ wołyńskiej	60
„ wileńskiej	49
„ kijowskiej	37

„	mińskiej	26
„	grodzieńskiej	22
„	podolskiej	15
„	kowieńskiej	0

W pierwszych 7-iu guberniach nie było panów polskich; — w drugich 7-iu niemal wyłącznie Polacy. Te cyfry przemawiają same za siebie; są one najlepszą odpowiedzią na zarzuty, czynione nam ze strony szowinistów rosyjskich — co do ucisku chłopa ruskiego przez panów polskich“.



Jednodniówka „Znicza“.

W przeddzień świąt Bożego Narodzenia pojawiło się w Poznaniu wspaniałe wydawnictwo, które świadczy wymownie o wzmożonym ruchu umysłowym i artystycznym, uwydatniającym się w ostatnim czasie żywiej w prastarej piastowskiej dzielnicy.

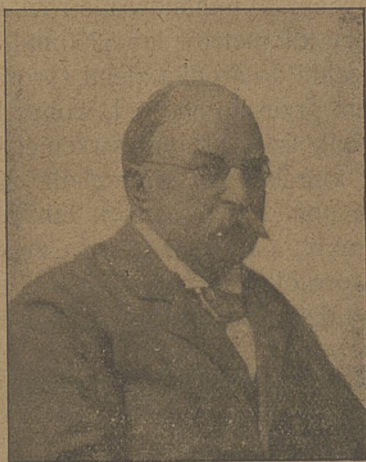


Maksymilian Jackowski,
redaktor „Ziemianina“ od r. 1867—1868.
(Patrz artykuł: Jubileusz „Ziemianina.“)

Jestto „Jednodniówka Znicza“, wytworne album wydane staraniem grona osób, (przeważnie pań), pragnących w ten sposób zasilić szczupłe zasoby finansowe spółki „Znicz“, której zadaniem: stworzenie racyonalnego rodzimego przemysłu zabawkarskiego, zapewnienie o ile możności największej liczbie ludzi ubogich, pracujących w tej gałęzi wytwórczości, stałego zatrudnienia i dostatecznego zbytu ich wyrobów, oraz zachowanie a raczej nadanie zabawkom w polskiej spółce wyrabianym charakteru swojskiego.

Spółka „Znicz“ w ciągu swego krótkiego istnienia dodatnio zapisała się w ogólnym ruchu ekonomicznym społeczeństwa wielkopolskiego i dostarczyła na ostatni sezon gwiazdkowy znaczny poczt najróżnorodniejszych zabawek dziecięcych, które, znajdując chętny pokup u publiczności, dochodem, jaki dały, zasiliły niejedną ubogą rodzinę, trudniącą się ich wyrobem.

Aby zasilić fundusze „Znicza“, a także zainteresować społeczeństwo polskie



Kazimierz Koszutski,
Redaktor „Ziemianina“ od r. 1869—1903.
(Patrz artykuł: Jubileusz „Ziemianina.“)

tą potrzebną i zbożną instytucyą społeczną, wydano wspomnianą „Jednodniówkę“. Dzieło obejmuje 8 arkuszy druku wielkiego formatu na kredkowym papierze w pięknie wykonanej okładce według projektu znanej wielkopolskiej malarki p. Dory Mukułowskiej. Prac literackich dostarczyło 95 wybitnych literatów z wszystkich trzech zaborów, w tej liczbie kilku Francuzów, znanych z przyjaznych dla Polski uczuć. Z głośniejszych imion wyliczamy tutaj: Baliński Ignacy, Bełza Władysław, ks. prof. Chotkowski, Chrzanowski Ignacy, Dębicki Zdzisław, Dembiński Bronisław, hr. Engestroem, Gasztowtt, Karwowski Stanisław, Konopnicka, Kościelski Józef, Morawski Franciszek, Or-Ot, Orzeszkowa Eliza, Rodziewiczówna, Sienkiewicz Henryk, Tetmajer Kaźmierz, ks. prał. Wawrzyniak, Józef Weyssenhoff i inni.



Dr. Wacław Swinarski,
redaktor „Ziemianina“ od r. 1904.
(Patrz artykuł: Jubileusz „Ziemianina.“)

W dziale artystycznym, reprezentowanym przez 33 reprodukcye dzieł sztuki plastycznej, figurują nazwiska takie, jak: Boznańskiej Olgi, Fetterowej, Hulewicza, Alfreda Wierusz-Kowalskiego, Marcinkowskiego, Mukułowskiej, Sichulskiego, Sieniawskiej, Szymanowskiego, Wywiórskiego, Zamiary, Zygarta i i.

Dział muzyczny zasilili cennemi przyczynkami: Friedmann Ignacy, Nowowiejski Feliks, Rutkowski Napoleon, Trzciński Józef i Żeleński Władysław.

Już ze samego suchego zestawienia nazwisk małej części współpracowników „Jednodniówki“ przekonać się może łaskawy czytelnik, że mowa tu o dziele ze wszech miar poważnem, zasługującem na szczere poparcie ze strony publiczności polskiej.

Wytwornej treści najzupełniej odpowiada wytworna zewnętrzna szata dzieła, które wykonano w *Drukarni Nakładowej „Pracy“ w Poznaniu.*

Cena „Jednodniówki“: 4 mrk. — 5 kor. — 2 ruble.

Skład główny: Księgarnia B. Chrzanowskiego, Poznań, ul. Wilhelmowska 17.

Mamy nadzieję, że „Jednodniówka“ tak ze względu na treść jako też na szlachetny cel, któremu służy, znajdzie chętnych nabywców nietylko w W. Księstwie Poznańskiem, lecz także w Galicyi i Królestwie. Każdy, kto „Jednodniówkę“ nabywa, zasila równocześnie spółkę „Znicz“ i umacaniając jej podstawy, przyczynia się równocześnie do „wzmożenia naszych sił ekonomicznych“, co według pięknych słów J. E. ks. Arcybiskupa Bilczewskiego, figurujących w „Jednodniówce“ na naczelnem miejscu, jest równocześnie „utwierdzeniem naszego bytu narodowego.“

R.

Na Anioł Pański dzwonią. Komu?
Tym, których śmierci dłoń uśpiła,
Tym, co, nie mając swego domu,
Nie wiedząc, kedy ich mogiła,
Jak ptaki, z gniazda wypędzone
Samotni idą w obcą stronę.

„Echa“. — Władysław Bukowiński.

* * *

Ach, złudą jest wiośniany wiew,
Co rzuca ziemi kwiatów siew,
Co morzu srebrzy skrzydła mew...
A prawdą jest ten śmierci dech,
Co gasi radość, gasi śmiech,
A prawdą te szkielety drzew...

Marya Konopnicka.



Fotogr. Bern. Chrzanowski.
Lipowa aleja króla Jana w Rucewie.
Z „Jednodniówki“ Znicza.

Lipowa aleja króla Jana w Rucewie.

(Z Jednodniówki „Znicza“.)

Kładzie się przed stopami kosiarzy gęsty i rosły owies szeroką i długą wstęgą; przystają, ostrzą kosy i patrzą pod słońce na srebrzące się morze... Niebo czyste, modre, jesienne: suną po niem wysoko białe chmury, pędzi je chłodny wiatr, uderza z boku w rower. Jadę wolno. Powoli chowa się za wyniosłym brzegiem morze...

Owce pasą się na ściernisku; biały pies je zagania; pastuch o kij oparty, odwrócony odemnie patrzy znów na morze... Odsłonił je jar uchodzący z pola ku niemu; z srebrnego zamieniło się w błękitną smugę. Znów mi je za chwilę las sosnowy zasłania...

Mijam strumyk biegnący wśród olch ku morzu i wjeżdżam w aleję lipolbrzymów. Środkiem szeroka droga obramowana pasmami murawy; wśród nich lipy; za niemi po obu stronach drogi obszerne ścieżki odgrodzone od pola trawiastemi miedzami; wśród nich znów lipy. Cztery więc ich szeregi. Słońce rzuca między nie na ziemię złote, drgające, żywe plamy. Na prawo przebłyskuje za rżyskiem przez nadbrzeżne drzewa, świeciste morze...

. . . .

Dojeżdżam aleją przed czerwony pałac. Wieś na przylądku. Ziemia i woda zwracają się ku niej ku Puckowi. Chaty roboczego ludu zbudowane pod lekko wyniosłem wzgórzem nad samem morzem. Wygląda ono tu jak jezioro; wierzby opuszczają ku niemu swe gałęzie; chwieją się nad niem bronzowe kiście szczawiu i żółcą kwiatki gęsiego ziela. — Dziedzic wsi — obcy jej ludowi.

A mieszkał tu kiedyś król Jan; w lipcu 1685 r. podpisał tu przywilej dla Wejherowa; przyjeżdżał i później tu na Kaszuby do swego dziedzictwa na wywczasy. Jedyny polski król, w polskiej wsi, nad polskiem morzem! Przyjeżdżała tu i Marysienka, chociaż wolała kąpać się w Kolebkach pod Sopotami. Z dawnego królewskiego dworu ani śladu; za budynkami folwarcznymi ludzie dworscy, kopiąc doły do kartofli, znajdują jeszcze czasem resztki fundamentów.

Król Jan sadził też bezwątpienia i te olbrzymie lipy. Są między niemi i młodsze dosadzane później — może przez Przebendowskich, lecz są i staruszki napewno przeszło dwustoletnie. Aleja to przytem niezwykła, czterorzędowa; prowadzi od połowy drogi ze sąsiedniego Osłanina do Rucewa jak do jakiej królewskiej rezydencyi. Jan III. lubił wreszcie drzewa sadzić; i tradycya i historya o tem przecież mówią.

Niechże więc ta rucewska lipowa aleja zostanie — **aleją króla Jana.**

Bernard Chrzanowski.

Tylko w spokojnej wodzie niebo odbijać się może.

Deotyma.

* * *

Złe środki celem choćby najwznioślejszym nigdy nie są uświęcone.

Andrzej Zamoyski.

* * *

Bluźni przeciw sprawiedliwości boskiej, kto sądzi, iż żyje w epoce zbyt trudnej, zmuszającej go do nieczynności do oczekiwania na lepsze niby czasy.

Tenże.



Ogrodnictwo jako zawód kobiecy.

Artykuły, poświęcane szkołom wiejskiego gospodarstwa kobiecego w Saksonii, wywołały dyskusyę na temat specyalnej kwestyi zawodowej, w zakres ogrodnictwa i pszczelarstwa wchodzącej, więc i ja pragnęłabym dorzucić kilka uwag ogólnych o ogrodnictwie jako zawodzie kobiecym.

Nasamprzód nie od rzeczy odpowiedzieć na pytanie, czy kobieta wogóle nadaje się do zawodu ogrodniczego. Z pism ogrodnictwu poświęconych przekonuję się, że w kołach męzkich istnieją wątpliwości co do żeńskich kwalifikacyi zawodowych w tej dziedzinie. Temu nie wypada się dziwić, gdyż znana to recz, że nowość wita się wątpliwościami; zresztą ogół kobiet, zdobywający krok za krokiem nowe, dotychczas męzkie sfery zawodowe, pewnie wszędzie wśród różnych trudności zwalczać musiał powątpiewania, brak ufności w siły żeńskie (pokrywający tyle razy właśnie przeciwny motyw, bowiem obawę męzkich zawodowców przed żeńskiem współzawodnictwem); ostatecznie wymaga zawód ogrodniczy pewnych kwalifikacyi, które bynajmniej nie każda jednostka, czy to męzkiej czy żeńskiej płci, posiada.

Pod względem cielesnym potrzeba zdrowia i sił, a także pewnej zgrabności, ale z drugiej strony wpływa pobyt na świeżem powietrzu (przy zachowaniu odpowiedniej ostrożności) korzystnie na siłę i sprężystość ciała, nie wyczerpuje ich praca zawodowa tak jak w tylu innych niezdrowych lub w każdym razie mniej hygienicznych zawodach, do których właśnie ciśnie się wielka część naszych kobiet zarobkujących.

Pod względem duchowym trzeba mieć — podobnie jak w każdej innej dziedzinie zawodowej — zamiłowanie do zajęć ogrodniczych, przy czem bynajmniej nie wystarcza marzycielskie kochanie się w poezyi przyrody; należy bowiem z góry brać na uwagę wcale prozaiczne uciążliwości zawodowe i umieć zdobyć się na pewne ofiary; wprawdzie wynagradza szarą prozę, n. p. stałe dozorowanie nieumiejętnych sił roboczych od rana do wieczora, nieszczęśliwe wypadki i t. d., ciągłe obcowanie z życiem i niewinnością i czarem przyrody, pielęgnowanie roślinek, wsłuchiwanie się w rozwój i rozkwit piesz-

czonych żyjątek i napawanie widokiem plonu własnej pracy.

Ale aby ten plon nie tylko potęgował poezyę nastroju, jeno zarazem, odpowiadając prozaicznym prawidłom nieubłaganego kapitalizmu rynkowego, zawsze realną przedstawiał wartość, wypada *nieraz* wnieść w ogrodniczą sferę zawodową poza rzetelną pracą, na wiadomościach fachowych opartą, pewien zasób zdolności *organizacyjnych i kupieckich*. Czyż więc kobiety zdołają sprostać wszystkim wymogom ogrodnictwa? Wprawdzie są kobiety — zdaje się — pierwszemi przedstawicielkami zajęć ogrodniczych, gdyż one prędzej, aniżeli mężczyźni, oddający się w zaraniu dziejów ludzkich polowaniu, rybołóstwu, pasterstwu, zapasom wojowniczym, zajęły się hodowlą roślin i dały początek rolnictwu a także ogrodnictwu. One też i dzisiaj częstokroć, n. p. w naszych gospodarstwach włościańskich i wiejskich robotniczych, więcej aniżeli mężowie poświęcają uwagi sprawom ogrodowym. Zdawaćby się mogło, jakoby istniał jakiś naturalny ściślejszy związek między istotą żeńską a charakterem zajęć ogrodowych: delikatne kwiecia, przepyszne owoce jakoby odbijały niewieścią delikatność i żeński czar i jakby domagały się pieszczotliwej pielęgnacyi i wychowawczego poświęcenia od miękkich rąk i ofiarnych serc kobiecych; zdawaćby się mogło, jakoby głos natury znajdował poniekąd posłuch w dziejowym podziale pracy, który dotychczas pozostawił kobiecie większą część trosk około ogrodu.

Gdybym jednakże, wskazując na pierwociny pieczy około roślin i kwiatów, zaznaczając związki wewnętrzne między żeńskością a roślinnością i akcentując dotychczasowe wyniki podziału pracy w świecie cywilizowanym, takiemi argumentami chciała dowodzić zdolności kobiecych do zawodu ogrodniczego, możnaby mi zarzucić, że *domowe ogrodnictwo a zawód ogrodniczy* w ścisłem tego słowa znaczeniu to rzeczy bardzo różne; możnaby odeprzeć, że właśnie męzki zawód ogrodniczy na podstawie częściowego dalszego podziału pracy wyemancypował się ze sfery domowej i że ogród jako warsztat pracy rynkowej, jako *ogniwo* mechanizmu *kapitalistycznego* potrzebuje nietylko delikatnej pieczy i ciepłoty uczuciowej, ale zarazem *trzeźwej kalkulacyi, spokojnego rachunku, organizatorskiego kierownictwa,* zimna... kupieckiego, słowem przedmiotów... męzkich.



Sichulski. **Hucuł.**
Z „Jednodniówki“ Znicza.

Czemże więc dowieść zdolności kobiecych do zawodu ogrodniczego? Najlepiej pewnie tem, czem w tylu dziedzinach padają przeciwieństwa, t. j. czynami. Dzieła kobiece rozwiały już tyle wątpliwości, to też może i u nas na tem nowem polu ułatwią kiełkowanie nowych ziarn. Praca zaś niewieścia w sferze ogrodniczej odzwierciedla się w liczbach statystyki zawodowej i w szkolnictwie zawodowem.

Z najnowszej niemieckiej statystyki zawodowej (z r. 1907) dowiadujemy się, iż *1.095* kobiet było *właścicielkami* lub *współwłaścicielkami* interesów ogrodniczych, *135 dzierżawiło* takowe, zaś *31* znajdowało się na stanowiskach *kierujących urzędniczek i innych kierowniczek,* wreszcie pracowało *19 w własnem* mieszkaniu dla obcego interesu; razem zajmowało się kwiaciarstwem na stanowiskach kierujących *artystycznem* i *handlowem* ogrodnictwem 1280 kobiet jako zawodem *głównym;* mężczyzn zaś żyło w takich warunkach razem *16.862.*

Jako zawód *poboczny* uprawiało ogrodnictwo *artystyczne i handlowe* na stanowiskach kierujących *razem 789* kobiet, z *tych 100* oddawało się *rolnictwu* jako zawodowi *głównemu, 239* pracowało w *innych* zawodach *głównych,* 450 zaś *nie* miało głównego *zawodu;* po stronie męzkiej traktowało *7.171 osób* ogrodnictwo artystyczne i handlowe jako zawód poboczny.

Pomocników i uczni naliczono żeńskich 1.633, męzkich zaś 42.170.

Choć zupełna przewaga po stronie męzkiej, to widzimy jednak znaczny szereg kobiet w ogrodnictwie, przy czem zważyć wypada, że niemiecki ruch kobiecy w tym kierunku zawodowym bardzo młody, nie liczy bowiem pewnie ani dwudziestu lat.

Stąd trzy nasuwają się wnioski:

Po pierwsze. Skoro w nader krótkim czasie mogły niejedne kobiety wybić się na stanowiska kierujące, to widocznie nie brak przedstawicielkom niemieckiej płci żeńskiej przymiotów, potrzebnych do należytego wypełniania naczelnych miejsc w zawodzie ogrodniczym. Po wtóre. Trzeźwo myślące i poważne kobiety polskie, jak w tylu innych względach, tak też i w tym chyba nie ustępują kobietom niemieckim i mogłyby także osięgnąć kierujące stanowiska. Po trzecie. Skoro w około 60 milionowem społeczeństwie niemieckiem znalazło się miejsce dla przeszło 1200 kobiet, poświęcających się w naczelnej pozycyi ogrodnictwu jako zawodowi głównemu, to i w naszym około 4 milionowem odłamie społeczeństwa polskiego nie winno braknąć miejsca dla kilkudziesięciu ogrodniczek. *W. P.*

(Dokończenie nastąpi).



DROGA.

Wybrałem sobie drogę, której sanie
Moich sąsiadów nie ruszyły. W lecie
Krzewna tu rosła trawa, dziś zamiecie
Biel swą pokładły na przemarzłym łanie.

Brnę po pas w śniegu, pot mi czoło zlewa,
Choć takie zimno, że kawki i wrony
Znikły, a wczoraj tłum ich wygłodzony
Wrzaskiem oprzędzał te samotne drzewa.

Śmieją się ze mnie poczciwi ludziska;
Po co wam, panie, trud ten? tak się żali
Chłop, który czasu dość miał poznać z bliska
Potrzeby życia... Lecz ja brodzę dalej,
Zda mi się bowiem, że z tej drogi końca
Zobaczę lepiej zachód mego słońca.

Jan Kasprowicz



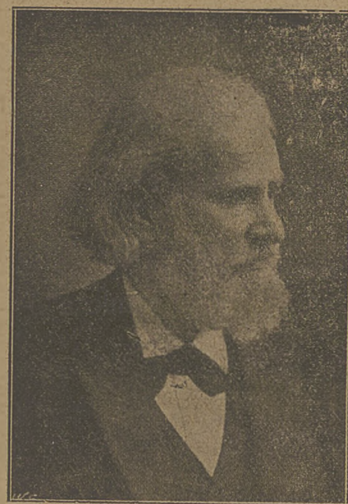


Na cześć braci Leblondów

autorów francuskich, znanych z życzliwości okazywanej Polsce odbył się świeżo w Paryżu bankiet, którego przebieg był następujący:

Pod przewodnictwem J. H. Rosny'ego (starszego) zasiadło do stołu około 150 osób z paryskiego świata artystyczno - literackiego i kilkudziesięciu Polaków, przyczyniających się w znacznej mierze gorącością swych serc do serdeczności nastroju, panującego podczas bankietu. Po licznych daniach nastąpiły liczne mowy. Przemawiali: p. Leon Dirx, senior poetów francuskich, J. H. Rosny, wysławiając literackie zasługi młodej spółki autorskiej, dalej E. Bourdelle, znany rzeźbiarz, wyrażając pp. Leblond uznanie za zrozumienie i odczucie młodej sztuki, dalej pani Valter, imieniem mieszkańców wyspy Zjednoczenia, ojczyzny laureatów. Największe wrażenie zrobiła jednakże mowa p. Gasztowta, wygłoszona z wielką swadą i wielką serdecznością. Mówca nie podniósł zalet stylu pp. Leblond, ani bystrości ich obserwacyi, ani doskonałej konstrukcyi ich powieści, lecz wychwalał ich czujące serca i szlachetność, z jaką używają swych talentów. W imieniu Polaków zebranych na bankiecie dziękował p. Gasztowt pp. Leblond za to, że wiedzeni miłością prawdy i sprawiedliwości, zwiedziwszy nasz kraj, przypominają Francyi, która zdaje się o tem nie pamięta, że naród nasz mimo politycznego upadku żyje i żywotności swej daje silny wyraz w nauce, sztuce i literaturze.

Z Polaków przemawiał nadto p. Lewandowski, dziękując w imieniu Komitetu francusko-polskiego pp. Leblond za ich starania w celu przepro-



Władysław Mickiewicz.

wadzenia do skutku budowy pomnika Adama Mickiewicza w Paryżu. Z kolei przemawiali pp. Leblond, dziękując obecnym za życzliwość. Starszy Marius w niewielu, lecz serdecznych słowach poruszył sprawę Polski, wyrażając nadzieję, że ta siostrzyca Francyi, z narodów europejskich największa męczennica, której bohaterskiej histo-



Marius i Arian Leblendowie.

ryi mówca zawdzięcza najgłębsze i najwznioślejsze uczucia, dozna lepszego niż dzisiaj losu.

Wśród odczytanych podczas bankietu licznych depesz i listów od różnych znakomitości francuskich, jak O. Mirbeau, J. Renard, G. Geoffroy, Paul Margeritte etc. etc. było też kilka przysłanych z Polski, od Władysława

Reymonta, Romana Dmowskiego i od redakcyi „Gazety Warszawskiej“ i „Życia Robotniczego“. Z Polaków brali udział w bankiecie Wł. Mickiewicz, pp. Koziccy, p. Wacław Gąsiorowski, p. K. Woźnicki (jeden z organizatorów bankietu), panowie Jakimowicz, Reychman, Strzębosz, Lipaczyński i wielu innych.

Obraz Teodora Tyca.

(Z Jednodniówki „Znicza“.)

Na lewo kościół na Skałce, gdzie 1079 r. zamordowano św. Stanisława, umieszczonego jako pierwsza figura na obrazie. Dalsze figury oznaczają: Mongoła: (napad r. 1241), Niemca: (kolonizacya po napadzie); niżej Bolesława Wstydliwego: (przywilej z dnia 5. 6. 1257 r.), przy nim Leszek Czarny: (fortyfikuje miasto). Dalej stoi Łokietek z wójtem Albertem: (odebranie miastu wszystkich przywileji po buncie 1312).

Następujące figury z epoki Kazimierza Wielkiego przedstawiają: starszego cechmistrza: (rozwój cechów), teologa: (założenie uniwersytetu) i Wierzynka. Obok ostatniego stoi kupiec z czasów Kazimierza Jagiellończyka: (rozwój handlu z Niemcami i Węgrami). Miasto w czasie rozkwitu przedstawia się w postaci zamożnego mieszczanina z 16-go wieku. Przed nim Zygmunt III: (przeniesienie stolicy do Warszawy).

Okres upadku: Szwed: (najście szwedzkie); August III. (ostatnia koronacya 17. 1. 1734). Wyżej na tle ponurem—Moskal, Austryak i Prusak, zajmujący kolejno miasto. Obok Kościuszko i książę Józef Poniatowski. Na najwyższej skale stoi rycerz z chorągwią i pochodnią — postać symboliczna: wytrwałe stanie przy sztandarze narodowym.



Tadeusz Mielcarzewicz.

Nowości beletrystyczne.

VII.

Kazimierz Zdziechowski: Łuna, 2 tomy. Warszawa 1910. E. Wende i Sp. Kraków — G. Gebethner i Sp. — *Ludwik Szczepański: Król powietrza.* Kraków 1909. G. Gebethner i Sp. — *Kazimierz Tetmajer: Maryna z Hrubego.* Warszawa 1910. Gebethner i Wolff. *M. Czerny: Niewolnicy ciała.* Kraków 1910. Gebethner i Spółka. — *Marya Rodziewiczówna: Klejnot.* Warszawa 1909. Gebethner i Wolff.

Nie skrystalizował się jeszcze w ogniu artystycznej twórczości piękny talent *Kazimierza Zdziechowskiego,* — znać tu niejaką zależność od pisarzów starszej nieco daty. Jego *„Łuna“*, bardzo obszerna powieść (jest to dalszy ciąg „Przemian“ tegoż autora, ale stanowi odrębną dla siebie całość) wykazuje obok poważnych zalet pewne wady i usterki. Kardynalnym błędem powieści jest jej rozwlekłość. Już podczas druku „Łuny“ w odcinku jednej z gazet poznańskich w roku ubiegłym uczuwaliśmy niemile nadmierną długość utworu. A choć powieść ta zyskuje wiele na tem, gdy ją się czyta jednym ciągiem, a więc nierozdrobnioną na kawałki, to jednak potrzeba już na to pewnej dozy cierpliwości, aby przez te tysiąc blizko (432 i 495) stronnic przebić się aż do końca. Nie żal nam atoli czasu poświęconego powtórnemu czytaniu „Łuny,“ gdyż dodatnie strony tej powieści przewyższają znacznie jej braki.

Gdyby nam kto kazał opowiedzieć treść „Łuny“, bylibyśmy w pewnym kłopocie, gdyż chcąc podać główną osnowę powieści nie wiedzielibyśmy, o co tu zaczepić. Przyczynia się do tego brak jakiejś intrygi miłosnej, która zespoliłaby poszczególne obrazy w jedną całość; już, już zawiązuje się tu coś pomiędzy Hanką Skibowską a malarzem Andrzejem, ale ten znika nam nagle w połowie pierwszego tomu z widowni i już się z nim więcej nie spotykamy. Hrabia Paweł Naborowski (znany już dobrze z „Przemian“) skłania się po śmierci żony całem sercem ku księżniczce Marylce, lecz czujemy, że i z tej mąki nie będzie chleba. — Autor nie zachowuje też jeszcze należytej perspektywy przy tworzeniu tak obszernego płótna: figury i wypadki tłoczą się na pierwszy plan tak, że nie wiadomo, co powołane jest do odegrania głównej, a co do pobocznej roli.

Najwybitniejsze typy Zdziechowskiego, choć z miłością narysowane, mało są sympatyczne. Moralizują, filozofują przez całe długie strony, ale nigdzie nie opromienia ich bodaj krztyna prawdziwej poezyi. Widzimy tu rzeczywistego hrabiego, który w wędrówce swojej z obozu do obozu — rzecz dzieje się w minionej właśnie dobie rewolucyjnej w Królestwie — dobije w końcu do portu socyalistycznego, aby i tę przystań wkrótce porzucić. Nie wzrusza nas zbytnio ten niestrudzenie dążący do popularności, a wiecznie osamotniony hrabia Paweł, tem mniej, że najczęściej przeżuwa obce myśli i walczy cudzemi słowami, ale już niesmaczne wprost są takie figury, jak Gut Obroński, bankier Żymirski, żona Pawła, albo ów mocny w buzi, a tchórzliwy w czynie powieściopisarz Rzyźniewski. Niewyraźną w rysunku jest Hanka Skibowska. Więcej interesu budzą niektóre drugoplanowe postacie (księżniczka, jej matka, malarz Andrzej, matka Hanki itd.) Działają tu rozmaite partye, ich koryfeusze, wybitni towarzysze „pepeesów“ (Śmiałowski, Ryszard, Orkiszowie i in.), także zwolennicy partyi realnej itd. Wszyscy wygłaszają szumne mowy, nieraz długie i nudne, schodzą się na posiedzenia, gdzie zwalczają się nawzajem, przekonani o własnej doniosłości, ale do jakiegoś namacalnego rezultatu nie dochodzą, nie wznoszą się do pozytywnego czynu społecznego. Późniejszy historyk ery rewolucyjnej nie znajdzie wogóle wiele materyału dokumentalnego w współczesnej powieści Zdziechow-



Obraz 12-letniego **Teodora Tyca** z Monachium (nagrodzonego pierwszą nagrodą na wystawie monachijskiej 1908 r. za pracę uczniowską, przedstawiającą panoramę „Bitwa ze Szwedami)“, — z własnym jego komentarzem.



Śmierć ostatniego cesarza byzantyjskiego Konstantego XI. (29-go maja 1453 r.)

(Z galeryi sułtańskiej w. Dolma-Bagtcha.)

skiego. Nie mamy zresztą prawa żądać takich dokumentów od każdej powieści, a to tem mniej, że autor położył daleko większy nacisk na pogłębienie charakterów swoich bohaterów, niż na podmalowanie tła rewolucyjnego i wyciąganie jakichś konsekwencyj z doniosłych wypadków owych czasów. Dla tego też poszczególne postacie opracowane są, jak już rzekliśmy, z widoczną starannością i pod tym względem przoduje autor (choć to dopiero trzecia powieść w jego dorobku literackim) wielu starszym pisarzom. Wolimy też takie pojmowanie rzeczy, niż błyskotliwe efekty oślepiające krwawemi scenami, ogłuszające bombami i browningami (jak to na porządku dziennym w naszej literaturze rewolucyjnej), co niby ma wytwarzać nastrój rewolucyjny, a co jest w gruncie rzeczy najczęściej pospolitem ślizganiem się po powierzchni ważnych spraw.

Chociaż budowa „Łuny“ jest nieco luźna, a całość rozwlekła (myśli, okresy, sytuacye nieraz się powtarzają), a tu i owdzie znachodzą się uchybienia językowe, to jednak powieść ta jest dobrą w szczegółach, obfituje w barwne i żywotne sceny, w trafne porównania i przenośnie; wprawdzie od bohaterów wieje nieraz chłód, tak, iż nie rwie się do nich serce czytelnika, ale przyznać trzeba, że psychologiczne ich pogłębienie nic nie pozostawia do życzenia. Przytem powieść zniewala do poważnego zastanawiania się nad kwestyami niepospolitego znaczenia, nad wiecznie nierozstrzygniętemi tajemicami ludzkości, nad zagadką istnienia, bólem życia i zgrozą śmierci. Wogóle stwierdzić wypada, że Zdziechowski wstąpił w szranki literackie z dużym zasobem doświadczenia, dla tego też oszczędził sobie i czytelnikom prób niepomyślnych.

Inny rodzaj twórczości reprezentuje *„Król powietrza“ Ludwika Szczepańskiego* z powodu lekkiej formy opowiadania i treści dostępnej szerokim kołom. Autor nazwał ten utwór „powieścią najbliższej przyszłości“, — my napisalibyśmy pod tytułem: „obrazek fantastyczno-aktualno-satyryczno-awiatyczny“. Nieco przydługie określenie to informowałoby z góry o zawartości książki, której kolorowa okładka przedstawiająca aeroplan szybujący poważnie po przestworzach nie zdradza bynajmniej humorystycznej treści utworu. Znajdujemy tu więc bezpretensyonalny, ale ciekawy obrazek, którym autor osiągnął zamierzony cel: stworzył w erze Zeppelinów, Wrightów, Farmanów, Blériotów i naszych polskich Szyndlerów powieść nawskroś aktualną i... nieprawdopodobną. Dość powiedzieć, że dwie osoby (mężczyzna i kobieta) wypowiadają rodzaj wojny jednemu z najpotężniejszych państw europejskich, a to w tym celu, aby je nakłonić do wrócenia wolności uwięzionemu inżynierowi Silnickiemu. Wojnę tę prowadzić zamierzają za pomocą aeroplanu wynalezionego przez tegoż Silnickiego; z wysokości 300 metrów chcą rzucać na pancerniki owego państwa pociski dynamitowe w stalowych cylindrach. I rzeczywiście roztrzaskują tym sposobem wielki okręt wojenny. Taką jest wizya autorska najbliższej przyszłości — rzecz dzieje się w roku 1911-ym.

Wobec tego, że w ostatnich latach pojawiło się w różnych językach mnóstwo utworów osnutych na tle awiatyki, kładzie autor w przedmowie nacisk na to, że on pierwszy powziął ideę zużytkowania postępu aeronautyki do napisania powieści, gdyż już w roku 1902-im zapowiedział był w prospekcie do „Illustracyi Polskiej“ druk „Króla powietrza“. Przyjmujemy to do wiadomości, ale zaznaczyć musimy, że myśl wykorzystania wzlotów powietrznych (za pomocą balonów, maszyn do latania itd.) do tworów powieściowych lub teatralnych jest bardzo starą. Już w r. 1784 niejakiś Gustav Hayemann napisał żart sceniczny p. t. Kula powietrza („Die Luftkugel“), poczem następowały w krótkich przeciągach czasu sztuki i farsy różnych autorów, zwłaszcza niemieckich, np. „Maszyna powietrzna“ H. W. Seyfrieda (1785), „Piłki powietrzne czyli kochanek à la Montgolfier“ Bretznera (1786). W roku 1815 przedstawiano w Hamburgu operę komiczną p. t. „Balon powietrzny czyli cesarz Mikołaj w księżycu“, — a w nieco bliższych nam czasach gra dość ważną rolę balon w znanej i po dziś dzień chętnie wystawianej sztuce Rädera: „Robert i Bertram“. Spis ten moglibyśmy znacznie jeszcze powiększyć.

Bądź co bądź Szczepański jest pierwszym polskim autorem, który na tem tle napisał dłuższy utwór literacki. Rzecz ujął zgrabnie i zabarwił ją satyrą na naród i ustrój państwowy znanego nam dobrze kraju. Pomimo, że powieść ta głębszej wartości nie posiada, to jednak zasługuje na przeczytanie, tem więcej, że gładki i potoczysty styl ułatwia znakomicie ten proces czytania. — Wspomnimy tu jeszcze, że Szczepański nie jest nowicyuszem w literaturze: jest on autorem dwóch tomów poezyj („Srebrne noce“, „Hymny“) a nadto był założycielem „Życia“ (1897), organu, który w dziejach ruchu umysłowego „Młodej Polski“ piękną posiada kartę.

(Dokończenie nastąpi).



Zamiar. Z „Jednodniówki“ Znicza.

„Rondel“ w Krakowie.

Rada miasta Krakowa na posiedzeniu swojem plenarnem uchwaliła dwoma głosami większości oddać barbakan Bramy Floryańskiej na wystawę panoramy Styki „Bitwa pod Grunwaldem“. Za oddaniem głosowało 25 radców miejskich, przeciwko — 23.

W sprawie świętokradztwa Częstochowskiego

donoszą z Paryża:

Ks. prałat Postawka, zasłużony rektor kościoła polskiego i dyrektor misyi polskiej w Paryżu, przejęty do żywego świętokradztwem na Jasnej Górze, zajął się jak najgorliwiej tą sprawą i poruszył sprężyny policyi paryskiej i londyńskiej w celu odszukania skradzionych przedmiotów. Ksiądz prałat wyznaczył też z własnych funduszów sumę 10 000 franków nagrody dla tego, ktoby wpadł na trop złoczyńców.



Ks. Leon Postawka, Prałat Jego Świątobliwości



I. VRBANIJA.

Pożegnanie ziemi rodzinnej.





Wiara, Nadzieja, Miłość.

Paula Wężyk.

Trzej Królowie.

Tonąc w łzach, krwi i smutku, jak dziś ziemia nasza,
Tak ongi judzka ziemia czekała Mesyasza,
Co im na ciemnem niebie zajaśnieć miał tęczą,
Bo już własne ich winy skuły ich obręczą.

Czekali w utęsknieniu, czekali wytrwale,
Tłumiąc w sercach niepokój, uciszając żale,
Aż kiedy Gwiazda wzeszła, zwiastując nowinę
Ci, którzy już przejrzeli, szli witać dziecinę.

Hen, po ziemi obszarze, daleko, dokoła,
Aż do trzech obcych mocarstw biegnie wieść wesoła
I posłuszni wezwaniu, trzej króle-mocarze,
Idą za blaskiem gwiazdy po ziemi obszarze.

I przyszli do Betleem i w cud uwierzyli
I padli na kolana, tam, gdzie Dziecię kwili,
I trzej władcy królowie, przed Dzieciną Bożą
Składając swe ofiary w modlitwie się korzą.

I wracali do domów z nowiną radosną,
Że świat się znów odrodzi, że zakwitnie wiosną,
Że nie będzie ucisku, ni gnębień, ni wroga,
Bo wszyscy ludzie braćmi, gdyż dziećmi są Boga.

Tak było przed wiekami, dziś, choć rządzą króle,
Dziś ludzie wśród łez krwawych liczne znoszą bóle,
A fałszywe proroki takie głoszą hasła,
Jak gdyby sprawiedliwość na wiek wieki zgasła.

. . . .

Lecz my jednak choć jęczy biedna ziemia lasza,
Co roku z wiarą święcim dzień przyjścia Mesyasza
I miłość nas umacnia i budzi nadzieję,
Że kiedyś wyzwolenia gwiazda zajaśnieje.

Że tak, jak dusze nasze Bóg wyrwał z rąk śmierci,
Tak też zbawi tę ziemię rozdartą na ćwierci,
Że ona, nieśmiertelna, choć dźwiga okowy,
Dąży przez krzyż i mękę ku przyszłości nowej.



SIŁA WOLI.

Żyć prawdziwie, to znaczy działać energicznie; życie jest walką, która winna być prowadzoną mężnie. Na jakiemkolwiek stanowisku człowiek został postawiony przez Opatrzność powinien stać na niem wytrwale choćby mu w razie konieczności i cierpieć przyszło. Godłem człowieka silnego winno być zdanie: „szlachetnie się odważać, mocno chcieć, a na drodze obowiązku nigdy się nie zachwiać.“

Siła woli, jaką posiadamy, czy ona wielką jest, czy małą, jest darem Boga, więc nie powinniśmy jej zatracać, ani przez użycie do nieszlachetnych celów, hańbić. Powiedziano bowiem słusznie, że prawdziwa godność człowieka nie polega na gonieniu za przyjemnościami, sławą, albo urzędami, ale na pełnieniu swych obowiązków.

Niestanowczość i słabość woli najbardziej przeszkadzają spełnieniu obowiązków. Sumienie oraz rozpoznanie dobrego i złego stają po jednej stronie, zaś po drugiej stronie: lenistwo i namiętność. Słaba i niewyrobiona wola może się długo błąkać między temi wpływami, ale ostatecznie przeważy jedna lub druga szala. Jeżeli człowiek bezwolnie daje sobą powodować, to przeważy samolubstwo i namiętność, a wtedy człowiek zatraca samodzielność, upada w charakterze i staje się jedynie niewolnikiem swej słabości.

Dla tego to przyzwyczajenie woli do posłuszeństwa głosowi sumienia i do oporu złym wpływom niezmiernie ważną gra rolę w moralnem uobyczajeniu i w rozwoju charakteru.

Zanim się dojdzie do zwyczaju działania sprawiedliwie, opierania się złym skłonnościom, zwalczania zmysłowych popędów i przezwyciężania wrodzonego egoizmu, potrzeba długiego przedtem ćwiczenia, ale gdy się już raz nauczyło wykonywać obowiązek cnoty, staje się on zwyczajem łatwym do spełnienia. Ten się zwać może mężnym i dobrym człowiekiem, który stanowczem spełnianiem swej dzielnej woli tak się wyćwiczył, iż mu się cnota zwyczajem stała, tak jak znowu ten złym człowiekiem nazwanym być musi, który pozwalając wolnej woli upaść w nieczynności, puszcza wodze swym złym popędom i namiętnościom, bo przez to nabywa przyzwyczajenia występku, które go ostatecznie żelaznemi okowy spęta.

Człowiek może być silnym w zamiarach, jedynie przez działanie swoje wolnej woli. Jeżeli chce trzymać się zawsze w górze niechże się sam o to troszczy i stara, bo pomoc obcych nic mu nie pomoże. Jest on sam panem siebie i swych czynów. Może unikać fałszywości i rządzić się prawdą, może się strzedz okrutnych uczynków i być dobroczynnym i łagodnym. Wszystko to leży w zakresie jego osobistych usiłowań i należy do karności osobistej. Od ludzi samych zależy, czy mają pozostać wolnymi, czystymi i dobrymi, czy też niewolnikami, nieczystymi i podłymi.

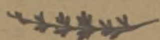
Jeden z mędrców starożytnych tak mówi: „Musisz uczyć człowieka, że szczęście nie tam leży, gdzie go ludzie szukają w swojem zaślepieniu i nędzy. Nie leży w sile, bo Miro i Ofellius nie byli szczęśliwymi; nie w bogactwie, bo Krezus nie był szczęśliwy; nie w potędze, bo Konsulowie nie byli szczęśliwi i nie razem w tem wszystkiem, bo Nero, Sardanapal i Agamemnon jęczeli, płakali i wyrywali sobie włosy, — i byli niewolnikami okoliczności i podlegli pozorom. Leży ono w tobie samym, w prawdziwej wolności, w nieobecności, albo przezwyciężeniu wszelkiej nieszlachetnej trwogi, w doskonałem panowaniu nad sobą, w potędze zadowolenia i spokoju, nareszcie w spokojnem dążeniu życia przez ubóstwo, wygnanie, choroby w dolinę cieni śmiertelnych.“

Jest w człowieku moc granitu,
Ogrom siły — i potęga,
Co duchowych wyżyn szczytu
Hardych pragnień skrzydłem sięga!

Są puklerze brylantowe,
W które próżno biją ciosy,
Gromy biją piorunowe...
Łamie dęby i kolosy
Świeci jasno w noc niedoli
Siła woli...

Człowiek cierpi — ból szponami
Szarpie serce, w głąb się wkrada,
Czyż ujawnić ma się łzami? —
Myśl w otchłanie smutku pada,
Rwie się, jako ptak spętany,
I ku gwiazdom tęskno płynie
Kryjąc krwawe serca rany...
Jednak w strasznych prób godzinie
Skargom wybiedz nie pozwoli
Siła woli...

Człowiek walczy — cel zdobywa
Wysiłkami, pracą, trudem;
Złych skłonności więzy zrywa
Jakiejś mocy dziwnej cudem...
Tysiąc przeszkód przełamuje,
Tysiąc pokus przezwycięża,
Tysiąc nici czynu snuje,
Precz odrzuca pychy węża,
Gdy wawrzynem skroń okoli
Siła woli!





Dział kobiecy.

Wskazówki dla matek.

Celem wychowania powinno być używanie wszelkich środków — aby w dziecku wykorzenić wszelkie złe nałogi i popędy, wszelką dążność do czysto zmysłowego używania, do blichtru i moralnej tandety — natomiast skierowanie ku rzeczom szlachetniejszej, idealnej natury, bo tylko to może ludzi uczynić rzeczywiście szczęśliwymi na tym świecie.

„Masz dwie drogi przed sobą otwarte:
Jedna ku ideałom wiedzie,
Druga wprost ku śmierci!“

Dążność ku wyższym, szlachetniejszym ideałom nie może być jednak jedynym punktem, około którego obraca się wychowanie, ponieważ istnieje cały szereg czysto praktycznych spraw życiowych, wobec których ideały nie na wiele się przydadzą; nie należy jednak uważać ich za coś dodatkowego, pożytecznego bez czego jednak w zasadzie obywać się nie można; te wyższe ideały powinny stanowić koronę, kwiat wykształcenia.

Nie wiedza i uczoność, ale wykształcenie; nie zimna praca umysłu jedynie, ale poczucie obowiązku, humanitarność, poświęcenie, szlachetna swoboda myśli i czynów są tem, co, jak człowieka, tak i cały naród może uczynić wielkim i silnym, zaprowadzić go na wyższe stopnie kulturnego rozwoju.

Wykształcenie domowe, to rodzina i jej wpływ na dzieci.

Nikt nie nadaje się do tak harmonijnego wykształcenia wszystkich władz umysłu i serca dziecka, jak matka, która mu ciągle towarzyszy, prowadzi, opiekuje się niem, poczynając od chwili, kiedy po raz pierwszy dotknęło się ustami jej piersi, aż do pierwszych kroków, stawianych na arenie szarego życia. Ona zna je najlepiej; ona najlepiej wychować je potrafi, bo je najlepiej kocha.

Jak bardzo błądzą te matki, które wychowują córki tylko na dobre gospodynie!... Kobieta daleko lepiej spełnia swe zadania, dobrze wychowując dzieci, chociażby była złą gospodynią, aniżeli kiedy potrafi ugotować dobrze zupę, upiec ciasto, zrobić dzieciom piękne sukienki, zapominając w zupełności, wprost nie umiejąc kształcić ich ciała i duszy, rozwijać w nich natural-



Dzik osaczony.

ne zasoby uczucia i inteligencyi, które ze sobą na świat przyniosły.

Matko, wypełnij przyrzeczenie, które wypłynęło z głębi duszy twojej wówczas, kiedy czułaś się najbardziej kobietą, najgłębiej odczuwałaś swe obowiązki macierzyńskie! Bacz na swe dzieci...

Każda matka, która tylko może uniknąć tej konieczności, niechaj zostawi dziecko przy sobie, niechaj je sama kształci, uczy, bawi, pielęgnuje jego zdrowie, wzmacnia ciało i ducha. Tylko w cichem, szczupłem kółku rodzinnem młodociany umysł i siły dziecka znajdą odpowiednie dla siebie warunki rozwoju, tylko matka jest naturalną wychowawczynią i kierowniczką swego dziecka.

Jeżeli się spytasz, jakiego ziarna masz rzucać najwięcej w młodocianą duszę dziecka, wówczas odpowiem, że nie jest niem ani nauka, ani rozum, ani pamięć, ani żadna specyalna gałąź nauki — lub sztuki, ale siła moralna — bo ona jest najważniejszym punktem w wychowaniu!... Siła moralna jest to dziwne tło, ten grunt wewnątrz istoty ludzkiej, który z trudnością daje się w słowach wyrazić, ale który się czuje wyraźnie, szczególnie wówczas, kiedy człowiek wystawionym jest na próbę.

Ta siła moralna nie pozwala czynić nawet źle, odpycha od wszystkiego, co trąci brudem moralnym.

Wiele matek sądzi, że za pomocą moralizowania, t. j. prawienia morałów, kazań, najlepiej można rozwinąć w dziecku poczucie moralności. Jest to naiwne przekonanie; jeżeli starszego człowieka takie moralizowanie nudzi, to cóż dopiero dziecko, które ma umysł bardzo ruchliwy, mniej skłonny do przyjmowania prawd w kształcie zdań, a więc przez bezpośrednią obserwacyę. Morałów, o ile można, jak najmniej — za to jak najwięcej przykładów z życia, z książki, — skąd się da i gdzie się da.

Często matki są tego zdania, że dzieciom ich nie powinny się zdarzać żadne przykrości; usuwanie tych przykrości uważają za główny swój obowiązek, za najgłówniejszy punkt wychowania. Rzeczywiście w bardzo wielu wypadkach przeciwności i przykrości usuwać należy, tembardziej, jeżeli przezwyciężenie ich przechodzi słabe siły dziecka, jeżeli jednak przykrości są tego rodzaju, że nie przyniosą szkody dziecięcemu organizmowi, są tylko nieprzyjemne i bardzo łatwe do zniesienia, wówczas nie należy ich usuwać, ponieważ dziecko za młodu powinno uczyć się spokojnie znosić ból i przeciwności, walczyć z niemi, nauczyć się cierpieć, ponieważ są to rzeczy, które się w życiu trafiają znacznie częściej niż przyjazne uśmiechy losu. Zadaniem wychowania jest przygotowanie dziecka do przyszłego życia, trzeba przygotować je nie tylko do umiejętnego korzystania z darów natury i ludzi, ale i do mężnego znoszenia cierpień i przeciwności.

Dążenie do prawdy — to jedna z najważniejszych, najszlachetniejszych cech ludzkiego umysłu. Matko, jeżeli zdołasz wszczepić w dziecko zamiłowanie prawdy, wówczas możesz powiedzieć, że praca twoja nie poszła na marne. Prawda jest nicią przewodnią i końcowym celem nauki i sztuki; szukamy jej w głębi nieba, wśród gwiazd, jak i na ziemi; szukamy prawdy we wszystkich naukach i sztukach — szukamy jej w rzeczach wiary, w przemyśle, w wychowaniu; wszystko to, co robimy, mówimy, o czem myślimy ma nas zbliżyć do tego pożądanego celu — prawdy. Ona jest podstawą wszystkich ludzkich stosunków i urządzeń, bez niej cała ludzkość dawnoby już znikła, z tego świata.

Nie nauka zaprowadzi dziecko ku szczęściu, nie dostarczą mu go ani pieniądze, ani posiadanie, ale czyste, prawe serce, rozmiłowane w prawdzie,

która się stała celem jego dążeń i wysiłków. Miłość prawdy czyni człowieka duchowo wolnym, daje sercu i myśli spokój — czego nie zna ani fałsz, ani obłuda. Tylko postępując w imię prawdy, można powiedzieć, że się idzie z ludzkością — że się dla niej pracuje. Miłość prawdy, to jedna z cnót, która pozwala człowiekowi nazwać się człowiekiem ludzkości.

(Szkoła i Rodzina.)

Pogadanka naukowa.

Roztopione drzewo.

Nieco dziwne na pozór próby laboratoryjne, mające na celu otrzymywanie drzewa w stanie roztopionym od gorąca, dały w ostatnich czasach bardzo pomyślne wyniki i zastosowanie na szeroką skalę tego nowego materyału w przemyśle jest już tylko kwestyą czasu.

Chociaż drzewo jest materyałem niezmiernie łatwopalnym, jednak roztapia się przy stosunkowo niskiej temperaturze, o ile tlen nie ma do niego dostępu. Pierwsze próby w tym względzie podjęte były przez techników francuskich Biznarda i Lenoira już w roku 1891. Udało im się wówczas otrzymać w retortach hermetycznie zamkniętych próbki takiego drzewa. Bliższe jednak szczegóły i prawdopodobne braki tej metody nie są dokładniej znane.

Z nowszych metod w tym względzie zasługują na uwagę szczególniej dwa sposoby otrzymywania drzewa topionego, z których pierwszy tem się odznacza, że spożytkowywa wszystkie produkty uboczne, które przy fabrykacyi powstają, drugi zaś sposób, chociaż nie ma na względzie spożytkowania tych wytworów ubocznych, jest jednak tak tani, że prawdopodobnie bezpodzielnie zapanuje w przyszłości.

Tak przy jednym, jak przy drugim sposobie używany jest kocieł metalowy hermetycznie zamknięty z boczną rurą, za pomocą której wypuszcza się z niego powietrze, a napełnia się go azotem pod ciśnieniem 2 atmosfer. W pierwszym przypadku dzieje się to dopiero po uprzedniem rozgrzaniu opróżnionej przestrzeni i wypompowaniu wszystkich produktów ubocznych, jako to: kwasów, związków fosforowych, siarkowych i t. d., tak, że pozostaje tylko włóknisty środek drzewa. Ale to oziębianie i rozgrzewanie gazu wymaga tak wielkiej ostrożności i tyle kosztuje czasu, a dwa koniecznie potrzebne kotły metalowe pociągają tak znaczne koszta, że sposób drugi zdaje się być praktyczniejszym, jakkolwiek marnują się całkowicie produkty uboczne. W obu jednak przypadkach należy drzewo rozgrzać w azocie do 800 lub 900 stopni i w tej temperaturze pozostawić przez dwie godziny. Wytworzy się masa twarda, równomiernie ścisła i bezkształtna, która jest drzewem roztopionem.

Zalety tego drzewa zapewniają mu świetną przyszłość w przemyśle. Jest ono nadzwyczaj twarde i trwałe, przytem drobnoziarniste i wspaniale daje się polityrować. W stanie płynnym, wlane w formy, wypełnia, stygnąc, najdrobniejsze zagłębienia i wręby, dla tego też doskonale się nadaje do fabrykacyi liter ruchomych, tem bardziej, że wybornie się łączy z farbą drukarską i równie dobrze znosi zmywanie węglanem potasu lub sody. Szczególnie dobrze wychodzą litery wielkie, używane do drukowania specyalnych ogłoszeń. Produkt ten ma jeszcze i tę dobrą stronę, że przez dodanie do niego przed fabrykacyą substancyj przeciwgnilnych (antyseptycznych), staje się do pewnego stopnia niezniszczalnym, co także powinno na niego zwrócić uwagę świata przemysłowego.

Z dziedziny hygieny.

Pielęgnowanie chorych.

O lekarzach powiedział pewien profesor że „tylko dobry człowiek może być dobrym lekarzem.“ W całej pełni tak samo powiedzieć trzeba o osobach, które zajmują się pielęgnowaniem chorych. Tylko osoba szczerze oddana, która spełnia ten obowiązek z miłości bliźniego, zdolna będzie otoczyć chorego należytą opieką.

Na cóż uważać najbardziej, przy pielęgnowaniu chorego? Przedewszystkiem, by koło niego była czystość i by miał dostatek świeżego powietrza. To są dwa najważniejsze lekarstwa!

Co za bolesny widok, jaki nieraz oglądać można w domu na wsi i w mieście, gdzie chory leży! Barłog wstrętny, brudny, cuchnący, a na nim chory — Łazarz w brudnych łachach po których nieraz łazi plugawstwo! To nie przesada, ale prawda oczywista. I co gorsza, że nie tyle a przynajmniej nie zawsze bieda, nędza tego przyczyną, lecz niechlujstwo, nieporadność i lenistwo domowników

Pierwszą więc rzeczą, możliwie jak największy utrzymać koło chorego porządek. Łóżka prześcielać, bieliznę dawać czystą choćby co drugi dzień. Nie ma jej na tyle, ale przecież wody dosyć, więc przeprać bodaj jaka jest jak najczęściej. By zaś pościel nie gniła pod chorym, gdy ją zanieczyszcza, podłożyć mu kawał cyraty. Przecież to nie kosztuje tak wiele. Czysta znowu zmiana bielizny ogromnie przyczynia się do pomyślnego przebiegu choroby. Nie zapominać o tem, by choremu codziennie obmyć twarz i ręce letnią wodą, choćby się nawet wzbraniał przed tą operacyą. Usta zaś wytrzeć mu przegotowaną wodą z dodatkiem szczypty soli. To odświeża chorego.

Gdy chory leży dłuższy czas na wznak, trzeba go odwracać codziennie i nawet zmuszać do leżenia na boku, jeśli to nie sprawia mu duszności. Części ciała narażone na odleżenie, a więc krzyże i pośladki zmywać zawczasu octem, wódką lub spirytusem kamforowym. Jeżeli zaś chory zanieczyszcza się odchodami, użyć do zmywania trzyprocentowej wody karbolowej lub borowej. Baczyć też pilnie, by posłanie nie miało fałdów, guzów, by chory nie leżał zanieczyszczony, gdyż to wszystko powoduje rychłe odleżenie.

Skoro zaś pokaże się już odleżyna, co poznać po zarumienieniu się powyższych części ciała, ułożyć chorego na poduszce z otworem tak, by części odleżone wchodziły w otwór poduszki. Poduszkę taką można kupić lub zrobić w domu, wypychając dosyć długi, ale cienki worek płócienny włosieniem, watą lub sianem. Wypchany worek złączyć końcami i zeszyć je ze sobą. Powstanie więc poduszka w kształcie kiszki lub obwarzanka.

Któż odgadnie, jak tam długa
Ta droga żywota?
Jaka dola tam przed nami —
Żelazna czy złota?

Mieczysław Pawlikowski.

* * *

Niegdyś było więcej gwałtu, dziś więcej zdrady i fałszu; z dwojga złego wolę wilka, niż lisa lub węża.

A. Fredro.

* * *

Czas jest to wiatr; on tylko małą świecę zdmuchie;
Wielki pożar od niego tem mocniej wybuchnie.

Adam Mickiewicz.

* * *

Jedno słowo z ust pięknych więcej ma potęgi,
Niźli wielotomowe filozofów księgi.

A. E. Odyniec.



Za pokojem.

(Głosy poetów).

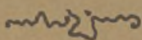
„Oto są wojen napastniczych dzieje
Łacno je skreślić: rzeź, grabież, pożoga
I blask co głupie rozwesela zgraje
A w którym mędrzec z bojaźnią uznaje
Głos wołający o pomstę do Boga“.
Adam Mickiewicz.

„Co warci ludzie?
Litośniejszymi są pioruny złote
Bo tylko sosnom serca rozdzierają.
Na toż to matkom dzieci swe hodować,
Aby z nich kiedyś były takie jatki?
Każdy trup tyleż wart ile kosztował?
Spytaj się matki, niech oceni trupa
Zlękniesz się gdybyś zapłacił co mówi,
Mogłaby kupić za zmarłego syna
Żywe królestwo, gdzie są miliony
Synów i matek“.
(Juljusz Słowacki.)

„Powtarzacie: „Chryste, Chryste!“
A nie macie w sercu jego.
Jakżeż ducha wam świętego
Przejąć dobro wiekuiste?
Z was się każden nad odłogiem
Własnej próżni wspina Bogiem
Na paluszku wzdętej pychy,
I tak wy zwierzęciejecie,
Bo kto sam się bóstwi w świecie
Ten na odwrót swego szału,
Odczłowiecza się pomału“.
(Zygmunt Krasiński.)

„I najwyższy nie dozwoli sędzia,
Aby odtąd już na ojców grobie,
Nasze dzieci, jak ślepe narzędzia,
Uzbrajano na śmierć przeciw sobie;
Aby miały z myślą rozpaczliwą
Rzucać znowu życia blask różowy,
Że zwiększają przyszłe nieszczęść żniwo
W proch kładąc głowy“.
(Adam Asnyk.)

„Precz ze strzelbami, sztyletami,
Niech zginie gwałt, i rzeź i mord,
Chrystusa znamię rządzi nami
Nie pójdziem śladem dzikich hord.
Ufajmy! Prawda fałsz zwycięża!
Zawsze ustąpi dniowi, cień!
Ten co świat podbił bez oręża
I nam tryumfu ześle dzień“.
(Wiktor Gomulicki.)





Głowa kobiety. (Studium.)



Zofia Bukowiecka.

Wzór Wytrwałości.

Krwawą ręką spłynął rynek w Sztokholmie 7-go listopada 1520 r., zginęło tam czoło narodu, najznakomitsi przedstawiciele wszystkich stanów. Historya dzień ten nazwała dniem Krwawej kąpieli, a sprawca jej, okrutny Chrystyan II. król duński, święcił tryumfy zwyciestwa, zagarniając Szwecyę pod swe panowanie.

Między zabitemi ofiarami, które zaległy rynek, znajdował się także Eryk Waza, spokrewniony z rodziną panującą w Szwecyi. Poległ Eryk i młody jego zięć. W mieście zapanowało grobowe milczenie, nie było komu płakać nad niedolą kraju, bo boleść i strach zamknęły najodważniejsze usta.

Chrystyan nie dowierzał jednak pozornie uspokojonym Szwedom, zażądał zakładników, i kwiat młodzieży, synowie poległych, zawiezieni zostali do Danii, aby wśród nienawistnego sobie kraju żyć pod grozą ciągłego niebezpieczeństwa.

Śledzono tymczasem usposobienie Szwedów i najdrobniejszy wybryk, najlżejszy objaw ich działalności był karany śmiercią zakładników.

Zakładnik ten mieszkał już od dawna w Danii, był nim Gustaw Waza, dzielny sercem i umysłem, bo odebrał staranne wychowanie, a dopełnił je studyami w Oksfordzkim uniwersytecie.

W wojnie z Danią dał dowody wielkiego męstwa, więc też strzeżono go pilnie w zamku Kalloe, gdzie młodzieńca szarpały różnorodne uczucia, tęsknota za ojczyzną, niepokój o rodzinę, którą tam zostawił, żądza zemsty, pragnienie powrotu. Aż zmożony żalem i bólem postanowił wyrwać się przemocy i wracać do kraju.

Przebrany za wieśniaka omylił czujność stróżów i uciekł z więzienia, dwa dni błąkał się po okolicy, głodny i obcy, aż nareszcie pod bramami miasta Tlensburgu, spotkał na gościńcu handlarzy niemieckich, którzy pędzili woły w Danii zakupione.

Dostać się do Niemiec, a toż tam ocalenie. Miasta hanzeatyckie pro-

wadziły często spory z Danią, może mu nie odmówią pomocy.

I tym to sposobem potomek królewskiej rodziny, wychowaniec wszechnicy oksfordzkiej, został poganiaczem bydła!

Ale prawdziwy majestat, to majestat wielkich serc, a takie nie uginają się w przeciwnościach. Nie ugiął się też Gustaw, wytrwał w służbie pastuszej i szczęśliwie przybył do Lubeki. Król Chrystyan wyśledził jednak zbiega, zażądał od hanzeatyckiego miasta wydania zakładnika. Zgromadzono radę mieszczan, obawa zemsty potężnego sąsiada zaczęła brać górę, Gustaw czuł się zgubionym, kiedy burmistrz Broem przemówił za nim gorącemi słowami.

— Hańbą okrylibyśmy nasze miasto! — wołał do zgromadzonych i głos szlachetnego człowieka znalazł echo w sercach panów radnych.

Odrzucono zgodnie żądanie Chrystyana, jako uwłaczające godności wolnej Hanzy, a młodzieńca wyprawiono potajemnie do Sztokholmu, gdzie spodziewał się odpocząć wśród rodziny.

Ale na granicy Szwecyi spotkały go wieści sztokholmskie, o Krawawej kąpieli. Stracił w niej rodzinę, przyjaciół i mienie.

Długie lata drżała Szwecya pod potężną ręką Chrystyana, Gustaw był zbiegiem, na głowę jego nałożono cenę, więc serce zbolałe po stracie tylu jego nałożonych mogło wątpić i rozpaczać, ale potężny duch młodego Wazy nie dał się zwyciężyć nieszczęściu.

On znał lud szwedzki i ufał mu, do tego ludu uciekł po ratunek dla siebie i kraju.

Na północ, na stokach gór mieszkało dzielne plemie Dalekaryjczyków. Wśród pełnego prostoty śmiałego ludu schronił się Gustaw; tam chciał jednać stronników dla sprawy Szwecyi. Bez grosza, opuszczony od wszystkich, błądził wygnaniec po lasach, głód zmusił go do pracy, i znów potomek królewski zdobywał chleb rękami, kopał miedź w podziemiach, ale nie przywykły do wilgoci zapadał na zdrowiu i musiał szukać innego zarobku.

Zgodził się więc w jakimś dworze dalekaryjskim do młócki. Bił cepami zboże, a jednocześnie, jak wprzód wśród górników, tak potem między rolnikami siał ziarna miłości do Szwecyi i myśl wyparcia Duńczyków. Podejrzywano jednak, że kryje tajemnicę, a gdy stawił się przed właściciela wioski, ten wymówił mu robotę, bo poznał Gustawa. Widywał go dawniej w Upsali.

I znów wśród głodu i chłodu błąkał się biedny zbieg w górach, szukając chwilowego schronienia u wiernych mu wieśniaków, ścigany jak zwierz w kniei, głód też zmusił go przyjąć raz jeszcze służbę we dworze, ale teraz trafił gorzej. Właściciel wioski Arund Peterson był kiedyś towarzyszem broni Gustawa. Waza mógł się spodziewać opieki od starego kolegi. Doznał jej też pozornie. Nikczemny Arund złudził wygnańca obietnicami, a tymczasem zawiadomił najbliższy posterunek duński, żądając pomocy w celu ujęcia zbiega. Wszystko więc byłoby stracone, Bóg jednak odwrócił grożące niebezpieczeństwo i odwrócił ręką szlachetnej kobiety.

Żona Arunda odgadła zamiary męża, dreszcz grozy wstrząsnął nią; zdrada, w jej rodzinie! Na to nie pozwoli nigdy. Dzielna i odważna, sama zaprzęgła małego konika i znanemi sobie drogami, uwiozła Gustawa z pomiędzy nieprzyjaciół.

Uwiozła do życzliwego Gustawowi proboszcza i zacny kapłan przechował zbiega w kościele, a potem powierzył opiece wieśniaka Nilsona, u którego wierności był pewien. Służył więc Waza za chłopskiego parobka, szerząc wśród ludu miłość Szwecyi, ale znaleźli go duńscy siepacze. Oddział wojska otoczył chatę; wszystko zdawało się stracone, gdy znów kobieta ocaliła wygnańca.

Żona Nilsona, widząc nieprzyjaciół, schwyciła rydel i zaczęła nim okładać Gustawa, wykrzykiwała przytem, że wypędzić musi darmozjada. Jakoż wypchnęła go z chaty, a dowódca oddziału, przybyły aresztować potomka królów, nie zwrócił uwagi na leniwego parobka.

Podstęp udał się znakomicie, lecz ośmielony powodzeniem Gustaw, postanowił udać się teraz do wsi Stattwichu, gdzie obiecano mu pomoc w walce z Danią. Poczciwy Nilson naładował furę słomą i ukrył w niej zbiega, ale na moście za wsią stała straż duńska, nie było innej drogi, podejrzywano, że tędy przekradać się będzie Waza.

— Co wieziesz? — spytał żołnierz.

— Cóżby? słomę — odparł śmiało wieśniak, chociaż wiedział, że naraża życie.

Wtedy Duńczyk schwycił włócznię i zaczął kłóć nią snopki, a koląc, zranił ukrytego w słomie Gustawa.

Ale bohater szwedzki nie jęknął. Zniósł ból, jak znosił trudy i głód. Był to dzień celu, do którego dążył i dopiął celu. Wyparł Duńczyków z pomocą dzielnych Dalekaryjczyków, a powołany na tron głosem całego narodu, stał się założycielem dynastyi, która wyniosła Szwecyę do niebywałej dotąd potęgi.



Czy śmierć jest bolesna?

Słowa Seneki: „Więcej niż trzeba cierpi ten, kto żyje w obawie przed cierpieniem“ — zawierają zwłaszcza głęboką prawdę odnośnie do strachu człowieka przed śmiercią. Rozstanie się z życiem jest procesem budzącym trwogę. Ale czy bolesnym? Śmierć gwałtowna nie sprawia fizycznego bólu. Zeznania ludzi, którzy stali już nad grobem skutkiem wypadków lub katastrof żywiołowych, świadczą, że doznawali uczuć miłych raczej, niż strasznych. Wedle świadectwa osób wiarogodnych, które wyszły cało z pod szpon dzikich zwierząt, a więc zaglądali śmierci w oczy, ta chwila nie była bolesną, ani pod względem fizycznym, ani moralnym. Zmarły niedawno profesor wiedeński Nothnagel, w pośmiertnem dziele o śmierci tłumaczy to silnem wstrząśnieniem systemu nerwowego, wywołującem znieczulenie. Tego samego uczucia: zupełnej obojętności — doznają ludzie, spadający w przepaść. Whymper, który spadł z Mutterhornu na gleczer, z gleczera na skały, ze skał znowu na niższe gleczery i tak staczając się runął w przepaść 70 metrów, wśród tego upadku nie doświadczał wcale bólu, tak jak człowiek zachloroformowany, pomimo, że miał zupełną przytomność i świadomość katastrofy, oraz jej następstw. Dowodzi zatem, że śmierć spowodowana upadkiem z wyżyn, jest najmniej bolesnym ze zgonów.

To samo twierdzą ludzie, którzy tonęli i zostali uratowani.

Śmierć skutkiem upływu krwi przychodzi też bez bólu.

Ale ważniejszem, ciekawszem dla większej liczby ludzi jest stwierdzenie, czy śmierć, będąca ostatecznym wynikiem choroby, jest straszną i bolesną. Jak się ten proces odbywa? I w tym kierunku doświadczenia ma się rozumieć niezupełne — są pocieszające i potwierdzają słowa Hofelanda w jego słynnej. „Maksobiotik“ wyrażone: „Nikt — pisze — nie czuł śmierci. Nie posiadamy świadomości w chwili, gdy opuszczamy ten świat, zarówno jak w chwili, gdy doń wkraczamy.“ Wyjątkowe są wypadki, w których umierający doznają cierpień do ostatniej chwili. „Bolesną jest choroba, nie zaś śmierć.“ Tak dowodzi Nothnagel, wyłuszczając, że nawet gdy sama natura, nie zaś wypadek nieprzewidziany,





Przy księżycu.

śmierć sprowadza, i wtedy nawet proces umierania nie bywa bolesnym.

Wiadomo, że najlżejszą jest śmierć ze starości. To jakby słodkie, spokojne ułożenie się do snu. Wogóle śmierć bywa zwykle poprzedzana omdleniem lub ustaniem działalności serca. „Asfiksya (zanik pulsu) jest ową siłą dobroczynną, wyrównującą drogę od życia do śmierci“ — tak nas pociesza z za grobu Nothnagel.

Jest na sprzedaż rzecz nader rzadka: chorągiewka, która wcale nie za wiatrem się obraca.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

* * *

Niemasz wyższej rozkoszy pod niebem i w niebie,
Niż czuć się być kochanym dla samego siebie.

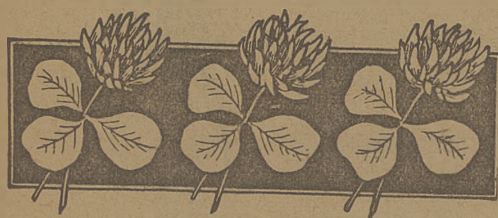
Stanisław Trębecki.

Kiedy ziemia będzie bez żelaza.

W prasie szwedzkiej toczy się dyskusya nad ważną kwestyą; jak długo jeszcze znane pokłady rudy żelaznej będą mogły wystarczyć wobec wzrastającego coraz bardziej zapotrzebowania. Geolog, prof. Anderson, zawiadamia tedy w „Stockholms Dagblad,“ że uczeni szwedzcy opracowują obecnie na podstawie naukowej oparty pogląd zapasów żelaza na ziemi. Dzieło to wykończone będzie za kilka miesięcy i złożone do użytku kongresu geologicznego, który ma się odbyć w roku bieżącym w Sztokholmie. Jakkolwiek dzieło oparte jest na urzędowych danych statystycznych i opiniach uczonych z całego świata, niemniej, zdaniem profesora Andersona, wszelkie obliczenia w pracy tej zawarte, będą miały wartość względną i czasową; trzeba bowiem wziąć pod uwagę, że rozwój nawet w tej dziedzinie postępuje z szaloną szybkością. Co do konsumcyi żelaza, obliczenie obecne może objąć tylko wielkość istniejących pokładów rudy żelaznej i środki pomocnicze, służące do ich eksploatacyi. Nie należy zapominać, że istnieją jeszcze nieznane dotychczas pokłady rudy żelaznej, niepodobna też odgraniczyć zupełnie dokładnie co, ze stanowiska praktycznego, należy za rudę żelazną uważać. Tak naprzykład w Szwecyi, w ostatnich latach, stosując nowe metody, zdołano wydobyć żelazo takiej rudy, która dawniej uważana była za pozbawioną wszelkiej wartości. Z dru-

giej strony jednakże zapotrzebowanie żelaza powiększa się coraz bardziej.

W tym samym mniej więcej duchu objaśnił kwestyę drugi geolog szwedzki, profesor Odelstjerna. Jest on przekonany, że ludzkość, odpowiednio do postępującego nieustannie rozwoju, odnajdywać będzie coraz to nowe środki. Silny wzrost konsumcyi żelaza jest wprawdzie trochę niepokojący. W ciągu lat dziesięciu od r. 1887-go do 1897-go konsumcya żelaza wzrosła z 49 mil. do 68 mil. ton na rok; w ciągu zaś następnego dziesiątka lat wszakże z 68 mil. na 133 mil. ton. Jedynym krajem, z którego można się spodziewać nowych zapasów rudy żelaznej są Chiny, posiadające wszelkie, niewyzyskane jeszcze pokłady rudy żelaznej i węgla kamiennego. W razie, gdyby żelazo się wyczerpało, mógłby je do pewnych celów zastąpić glin (aluminium) o ile wynalezionoby sposób tańszego wyrabiania go.



SUKMANA.

(Krakowiak.)

Jedzie Krakowiaczek
Kółeczkami dzwoni,
A jego konika
I wiatr nie dogoni...

Na głowie czapeczka
W cztery rogi szyta,
A toż to „rogatka“,
Czapka rodowita!

Na ramionach świta
Jaki to strój śliczny,
Tasiemką przybrana,
Ta chłopska sukmana!

Oj, nie jedna ręka
Wydrzeć nam ją chciała,
Lecz cudem, lecz szczęściem
Jakoś ocalała.

O! szanujcie dzieci,
Szanujcie te szaty,
Kto ojców strój chowa,
Ten jeszcze bogaty!...

O! nie rzucaj, bracie,
Nie rzucaj sukmany,
Bo w niej to wojował
Bohater kochany!...



St. Brandowski.

Świąteczne tragedye.*)

W sobotę jadłem kolacyę w Bristolu. Tuż obok mego stolika siedziała cała rodzina. Ojciec, jakiś z miny i z czupryny łyk zawołany, jego żona, męża swego zupełnie godna, trzy córki i jeden syn. Wszystko to tak pasowało do siebie, że i najlepszy karykaturzysta komiczniejszych i bardziej pokrewnych fizyognomij nieumiałby wymyślić.

Widziałem jednak, że nad tą całą rodziną wisi jakaś tragiczna gradowa chmura. Ojciec udawał, że czyta *Fliegende Blätter*, ale równocześnie jak ciężki winowajca z podełba po członkach swej rodziny spoglądał. Natomiast matka i dzieci przeszywały ustawicznie ojca wzrokiem pełnym strasznego wyrzutu, przyczem jedna z córek podciągała ustawicznie nos jakby od płaczu, a druga czuchrała plecy o krzesło, co było dla mnie dowodem, że ją pchła między łopatkami kąsa.

Siedzieli tak pół godziny w najzupełniejszem milczeniu, które tylko ojciec niekiedy przerywał wołaniem na kelnera, aby mu świeżą bombę przyniósł. Aż gdy znów zaczął wołać: pikolo! matka poruszyła się na krześle i spytała:

— Ileż ty tego piwa dzisiaj chlać będziesz?

Łyk spojrzał pokornie na żonę i bąknął pod nosem:

— Daj pokój, Loluś, ta jeszcze jedno tylko...

Ale i tę jedną bombę zaprawiła mu córka (ta siąkająca) uwagą:

— Mógłby ojciec po tem, co zaszło, miarkować się trochę!

Ojciec spojrzał na córkę, jak się patrzy na kota pies, przypięty do łańcucha.

Na to atoli ta druga, kąsana przez pchłę córka, rzekła inpertynencko:

— Niech się ojciec na Franię tak niepatrzy. Ona ma najzupełniejszą racyę!

Łykowi na chwilę zabłysnęły oczy kleparowską pasyą, ale widząc, że cała rodzina spogląda na niego jak na mordercę, stulił się znowu, wciągnął kulistą głowę w opasły kark i zasłonił się gazetą.

Tak minęło znowu pół godziny wśród milczenia, które i najsurowszemu kamedule mogłoby się wydać zabójczem.

*) Z książki „Moja menażerya“, wydanej nakładem księgarni M. Maniszewskiego we Lwowie.

Aż nagle na to grobowe towarzystwo wpadła jakaś dama w pozarogatkowym stroju i poczęła się ze wszystkimi serdecznie i krzykliwie witać:

— Jak się macie rabiata? Serwus Oldziu! A ty stara co robisz? Długo już na mnie czekacie?

Ale te wszystkie wybuchy nieznalazły jakoś równie radosnego echa. Poczęto się witać z nowo przybyłą jak na pogrzebie. Ona zauważyła to ogólne żałobne usposobienie, bo spytała z konsternacyą:

— A wam co się stało? Coście tak skapieli?

Nikt nic nie odpowiedział, tylko łyk zaszył się głębiej za kołnierz swego surduta i głowę zupełnie zagrzebał w gazecie.

Aż nagle jedna z córek (ta siąkająca) wybuchnęła głośnym płaczem. Po chwili zawtórował jej brat, student z dwoma srebrnymi paskami na gardzieli.

Na ten duet ojciec porwał się od stołu i obiecując, że zaraz wróci, uciekł w stronę pisuaru.

— Ta gadajcie, co się stało? — nalegała ta z zarogatki.

— Wyobraź sobie, Lorciu — podjęła matka — mąż kupił na gwiazdkę gramofon...

— Tak ładnie śpiewał na wilię! — wtrąciła ze szlochaniem córka.

— Ta stul dziób, kiedy ja gadam — rzuciła się matka na córkę. — Więc kupił gramofon za 160 koron...

— Na raty — objaśnił syn.

— Bolek! — wrzasnęła matka — chcesz po gębie nabrać? Więc kupił mąż gramofon... Uciecha była, ale niedługo, bo mąż się na wilię upił, i po jednej aryi Carusa, po pijanemu, niby na podziękowanie, wlał gramofonowi szklankę wódki do pyska...

— Jakto do pyska? — spytała przerażona ta z poza rogatki.

— No niby do tej blaszanej trąby! I gramofon od razu się zepsuł...

— Bulgocze tylko...

— Stul pysk, Bolek! I gramofon się zepsuł i w sklepie nie chcą go przyjąć do naprawy...

— Kupiec powiedział, aby go do Kulparkowa odesłać — wtrąciła znów córka.

— Kogo? gramofon?

— Nie, ojca.

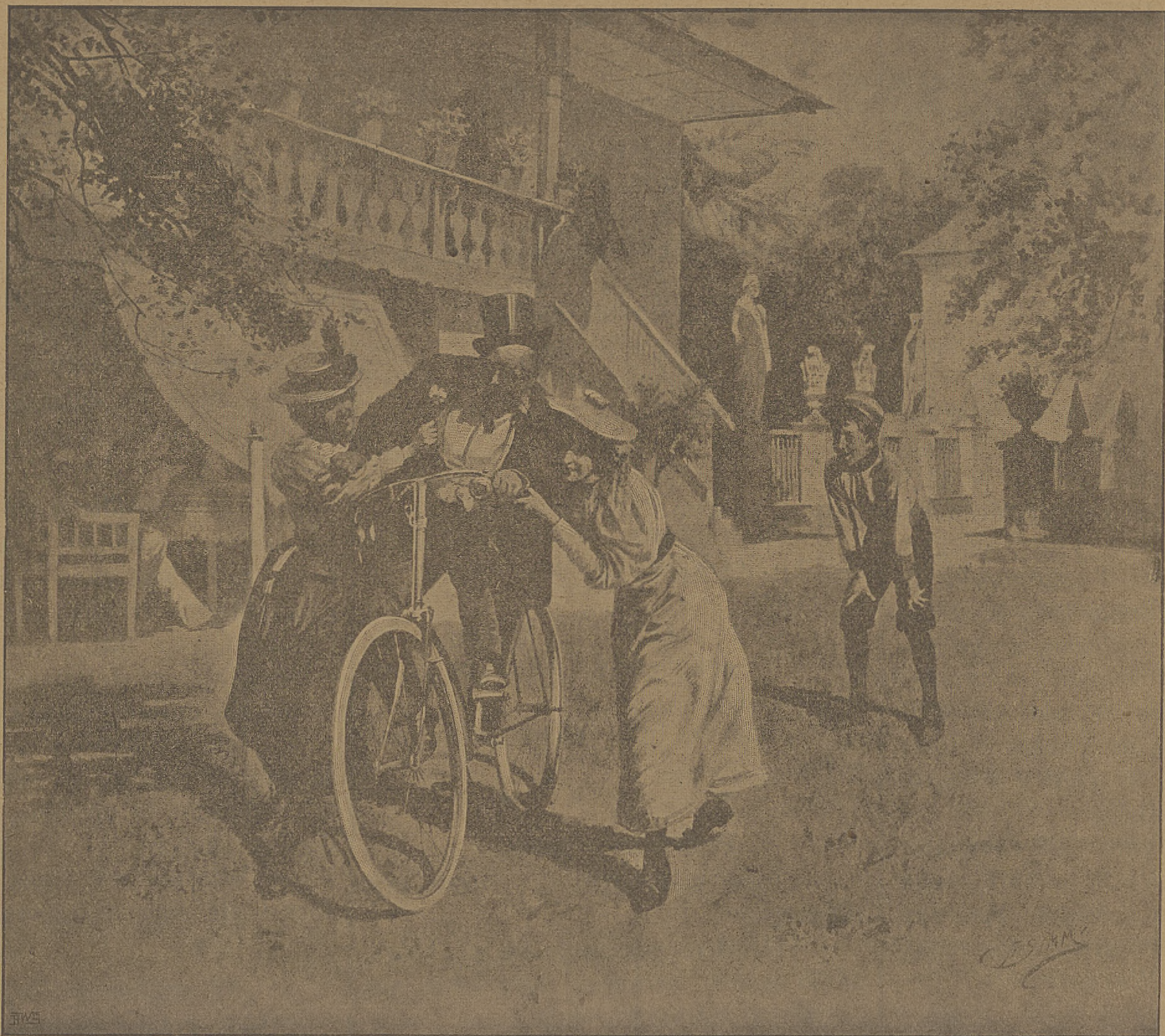
— Rany boskie! I cóż teraz zrobicie?

— Albo ja wiem? Ojciec mówi, że jak gramofon wytrzeźwieje, to znów będzie śpiewał.

— Bydlę! dotąd niewytrzeźwiał, to już i nie wytrzeźwieje.

— Gardło mu zardzewiało.

— Stryjek Walenty mówił, że musiało mu kiszki spalić.



Pierwsza próba.

— Komu? ojcu?

— Nie, gramofonowi.

— Ale jakie kiszki?

— Niby struny...

Na ten temat rozmowa toczyła się całą godzinę.

Gdy niedługo potem łyk wrócił do stolika, byłbym go ucałował z uciechy, tak mi się to jego przepijanie do gramofonu spodobało.



Po ślubie.

(Humoreska).

Nareszcie zostali sami!

Cisza uroczysta zaległa dokoła — przez okno tylko było słychać odmierzone, powolne kroki stójkowego po kamieniach... Srebrny miesiączek tkał swoje niteczki świetlane między zielone patyczki rolet — a różowa lampka pod sufitem oblewała miluchnemi promykami dwoje szczęśliwych nowopobranych, węzłem małżeńskim złączonych kochanków.

Należeli nareszcie do siebie!

Ona rozpływała się w szczęściu — on, porwany uniesieniem miłosnem cisnął jej piękną, w girlandę złotych warkoczy okoloną główkę do swych piersi... W serdecznym, silnym pocałunku przycisnął usta do tych blond włosków — a szepcząc słowa miłosne, ukradkiem zesuwał lewy lakierek z nogi, który mu dopiekał od trzech godzin nielitościwie...

— Ha! co ja widzę! — krzyknęła ona, ujrzawszy na jego skarpetce dziurę straszliwą od pięty aż do palców sięgającą!

— Ha! co ja czuję! — zaryczał on, gdy cała jej blond fryzura przylepiła się do jego nawoskowanych wąsów, a z pod fryzury wyjrzały rzadkie, rude kosmyki!

Chciał ryknąć jak tur z rozpaczy — ale wzgląd na śpiących sąsiadów stłumił głos jego serca... Nastała trapiąca — grobowa cisza!...

Tysiące myśli krzyżowały się po głowie jego — w sercu toczył się straszliwy bój, żrący mu duszę.

W końcu zerwał z drugiej nogi lakierek, rzucił go precz od siebie — a sam padł na kolana przed nią, złożył głowę ciężką od koniaków weselnych na jej kolanach i zaczął spowiedź... Przyznał się ze skruchą, że ma więcej długów, niż włosów na głowie, i że to ubranie frakowe ślubne, te lakierki — wzięte na kredyt!...

Obfite łzy zrosiły jego czerwone policzki. Patrzył jej w oczy, czekając wyroku. Ale ona objęła szyję jego białemi rączkami i szepnęła z miłością:

— Nie płacz, kochanie... Mój tatko zapłaci wszystko!

— O mój aniele! królowo mego serca! — krzyknął i chciał znowu upaść na kolana.

Ona jednakże powstrzymała go — w pół ująwszy:

— Szkoda nowych spodni, mężulku!

Lampka różowa zagasła — księżyc zapadł za komin — szczęście zapanowało w gniazdku zupełne... Zasłona spadła.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 9-go stycznia 1630 śmierć Eustachego Wołłowicza, biskupa wileńskiego. — 1792 pokój Turcyi z Moskwą, przeciw Polsce wymierzona wojna. — 1795 Stanisław Poniatowski opuszcza Warszawę. — 1796 Prusacy zajmują Warszawę. — 1797 Dąbrowski formuje legiony we Włoszech.

Dnia 10-go stycznia 1529 sejm w Piotrkowie przyjmuje ustawę do sądów pruskich. — 1677 otwarcie sejmu

w Warszawie. — 1837 śmierć uczonego Jana Uruskiego.

Dnia 11-go stycznia 1386 Jagiełło obrany przez stany królem polskim. — 1501 zawarte i potwierdzone przymierze z Turkami. — 1562 śmierć prymasa Jana Porębskiego. — 1655 zniesienie zbuntowanych Kozaków pod Ochmatowem. — 1678 August II. przybywa do Warszawy.

Dnia 12-go stycznia 1280 śmierć Zawiszy, biskupa krakowskiego. — 1329 śmierć Jana Radlickiego, biskupa krakowskiego. — 1441 hołd księcia oświecimskiego i zatorskiego. — 1815 Anglia przemawia za Polską do dworów północnych. — 1831 Moskale wkraczają w granicę Kongresówki.

Dnia 13-go stycznia 1698 konfederacya wojska w bezkrólewiu po Sobieskim. — 1773 manifest dworów zwiastujący rozbiór Polski. — 1793 Prusacy wkraczają do Polski. — 1811 zniesienie granicy pomiędzy Kongresówką a Litwą i Rusią.

Dnia 14-go stycznia 1329 sejm prawodawczy w Chęcicach. — 1576 sejm w Jędrzejewie po ucieczce Henryka Walezyusza. — 1807 utworzenie rządu tymczasowego w Warszawie.

Dnia 15-go stycznia 1462 zabójcy Tęczyńskiego śmiercią karani. — 1582 pokój z Moskwą na lat 10 w Kiwerowej Horce. — 1619 pokój z Moskwą w Dublinie. — 1674 sejm konwokacyjny.

Humor i satyra.

Drastyczny środek.

— Młody lekarz: Gdybym wiedział, co tu począć? Cztery córki radcy, gdzie jestem lekarzem domowym, są ustawicznie chore i nie chcą, aby je kto inny leczył, tylko ja.

Kolega: Prosta rzecz! Ożeń się z jedną z nich, a pozostałe trzy natychmast wyzdrowieją!

* * *

W szpitalu.

— Ależ panie kochany, jak możesz zdzierać bandaż, który panu przed chwilą założyłem!

— Proszę pana konsylyarza, coś mnie tam zaswędziło i chciałem tylko zobaczyć, czy pan konsylyarz nie wbandażował tam przypadkiem pchły!

* * *

Moja kochanka.

Kochankę mą mam prawo
Wychwalać, wielbić w głos,
Jej piękność okryć sławą:
Wypisać wierszy stos!
To anioł jest skończony,
Wprost niema takich dwóch:
Jak zacne serca strony!
A jaki wielki duch!
W jej oczach się odbija
Najczystsza z wszystkich cnót:
Bieluchna ta lilija
Ustami sączy miód.
Jak wam dziękować bogi
Za taki wielki dar,
I za ten skarb tak drogi,
Co ma i wdzięk i czar.
Wad żadnych nie posiada,
Prócz jednej i to źle,
Bo to okropna wada...
...Nie urodziła się.

* * *

Lepiej. ..

(Cała gromada krewnych z prowincyi zjeżdża do domu biednego urzędnika).

— Co tu robić? — pyta żony.

— Trzeba będzie materace rozesłać na ziemi.

— Lepiejby było zanieść je do lombardu.

* * *

Pożyteczny człek.

— Pan siedziałeś w więzieniu? Dlaczego?

— Nabiłem porządnie kupca, który mimo moich częstych odwiedzin nie chciał mi dać zamówienia.

— Możesz pan w tej chwili objąć u mnie posadę komiwojażera.

* * *

Niegodziwiec!

— Powiedz-że mi moja Helciu, jak się zachowuje twój mąż wtedy, kiedy ty chcesz coś osiągnąć za pomocą łez.

— Ach moja mamo ten niegodziwiec kupuje mi wtedy za każdym razem pół tuzina chusteczek.

* * *

Na peronie.

—Ty! dokąd jedziesz?

— Tym właśnie pociągiem do Stryja.

— A to kapitalne. — Wyobraź sobie ja tym samym pociągiem jadę do — stryjenki.

* * *

Trudno ich rozpoznać.

Z bliźniaków braci umarł jeden.
Głupiec spotyka drugiego i pyta:
— Czyś to ty umarł, czy twój brat?

* * *

Przyszły wróg małżeństwa.

— Kain zabił niegodziwie swego brata, ale został za to strasznie ukarany, — wykłada uczniom w szkole profesor. — Kto z was może mi powiedzieć, jakie nieszczęście za to go dotknęło? — zapytuje po chwili przerywając swój wykład.

— Ożenił się z kobietą grymaśną, panie profesorze, — woła na cały głos jeden z chłopców.

* * *

Troskliwy małżonek.

— Moja droga — odzywa się pewien amator nocnych hulanek, do swojej żony. Czytałem dziś w gazetach, że kobieta dla swego zdrowia, potrzebuje daleko więcej snu niż mężczyzna.

— Czy rzeczywiście?

— Tak jest. — I dla tego proszę cię, nie wyczekuj od dnia dzisiejszego po nocach na moje przyjście do domu.

* * *

Sprawiedliwa zapłata.

— Czy nie mógłbyś mi powiedzieć, gdzie jest dom pana Zaleskiego? — pyta chłopca na ulicy przyjezdny do małego miasteczka.

— Owszem — odpowiada chłopiec, — ale jak dostanę za to na karmelki.

— Jak najchętniej, słusznie ci się to należeć będzie, — mówi przyjezdny podając mu pieniądz. — Gdzież dom ten leży?

— Właśnie rok temu, podczas pożaru spalił się ze szczętem.

* * *

W szpitalu wojskowym.

Młody doktor wyjmuje z ręki rannego oficera kulę i przyjrzawszy się jej odzywa się do niego:

— Daj mi pan ją na pamiątkę, jest to bowiem pierwsza kula, jaką wyjąłem z ciała wojskowego.

— Nie mogę panie doktorze, jest to bowiem pierwsza kula, jaka dostała się do mojego ciała, — odpowiada wojskowy chowając ją do kieszeni.



1)

Zaręczyny panny Feli.

Napisała **E... B...**

W domu państwa Głockich ruch wielki. Pan kamerdyner, wspaniała osobistość, dysponuje, dyryguje, sam jest wszędzie. Tu ustawia bukiety, tam posuwa fotel; wreszcie dzieło skończone, wszystko na przyjęcie gości gotowe i pan kamerdyner Brzózki zamyśla zająć się swoją szacowną osobą, wtem we drzwiach salonu spotyka pana domu.

Pan Głoski jest to szlachcic gruby, duży, łysy, z najeżonemi, krótko przystrzyżonemi rudemi wąsami, jasne oczy bystre, żywe, chytre błyskają z pod rudych szerokich brwi; zwykle czerwony w tej chwili karmazynowy, bo się zlatał po gospodarstwie, chcąc wszystko obejrzeć zanim oczekiwani goście przyjadą.

Chwycił za klapę od rannego tużurka wspaniałego kamerdynera.

— No, co? wszystko już dobrze, na miejscu, w porządku?

— W porządku jaśnie panie.

— Z szykiem, panie dobrodzieju, z szykiem — zawołał gospodarz i przeszedł parę razy po pysznym, od złota świecącym salonie.

— Dyabła tam — mówił, trąc łysinę — niechże mi jaki wychudły arystokrata pokaże takie sztuki — lustra do ziemi, dywan strzyżony, gdzie się obrócisz, coś złotego świeci od sufitu do lamperyi, a wszystko jak z igły, nowusieńkie. Głupi, kto stare graty lubi, jakiegoś rokoka, ja człowiek nowy, to ja lubię nowe. No asan Brzózki widziałeś kiedy co podobnego? — zwrócił się do kamerdynera, patrzącego z wielką ironią na swego pana.

— Widziałem proszę jaśnie pana — odparł z godnością, bo p. Brzózki miał to przekonanie, że widział wszystko i nie lubił, gdy kto o tem wątpił.

— Widziałeś, widziałeś, to chyba zagranicą?

— Tak jaśnie panie.

— A co, widzisz, a gdzie?

— W Paryżu, Wiedniu, Londynie.

— Wielki z asana podróżnik, to chyba w takich stolicach widziałeś takie salony; a u kogo?

— Tam proszę jaśnie pana w tych wielkich hotelach, gdzie sami tylko książęta i hrabiowie zajeżdżają, z temi apartamentami można porównać salon jaśnie pana; w prywatnych mieszkaniach nic podobnego nie widziałem, bo takich bogatych panów nawet zagranicą niema.

Głocki nie poznał się na szyderstwie, i uśmiechnął kontent.

—Spodziewam się, każdy wie, że zagranicą sami hołysze, a bogactwo panie dobrodzieju, tylko u takiego, jak ja, nie na głupich bankach, lecz na pewnych hypotekach i w czarnej, żyznej ziemi — przechwalał się przed swym kamerdynerem, który niemal z litością patrzył. — Takie bogactwo znaczy więcej, jak wszystkie honory, bo pieniądz, to wszystko, wszystko mój panie Brzózki — zatarł ręce z admiracyą dla siebie, podniósł głowę imponująco, wysoko — a teraz proszę uważać, żeby mi wszystko było po pańsku, niech arystokracya wie, co to człowiek nowy.

— Dobrze jaśnie panie, znam się na tem, jak być powinno — z niemniejszą dumą, jak jego pan, odparł kamerdyner i wyszedł.

Goście oczekiwani był to konkurent córki pana Głockiego i jego matka, państwo Mioscy, należący do bardziej znanych rodzin w kraju; szło więc gospodarzowi o zaimponowanie bogactwem ludziom, co wśród bogactwa wzrośli, chodził tedy szczęśliwy z przepychu swego salonu.

Wtem drzwiami od ogrodu, wpadła jak bomba, okrągła, jak bomba, czerwona i spocona pani Głocka.

— Matko najświętsza, ty tutaj z butami, zmiłuj się, strzyżony dywan! — krzyknęła, załamując ręce.

Pan Głocki stanął skonfundowany, z radości zapomniał o swych butach i dywanie, lecz nie miał zwyczaju od razu ustępować pani, więc ofuknął:

— A ty to w trzewiczkach balowych? — pani stanęła na progu.

— Ja tylko z brzegu — pisnęła.

Niktby się nie domyślił, patrząc w tej chwili na panią Głocką, że to jest pani tego bogatego domu. Miała na sobie krótką perkalową spódniczkę żółtego koloru i czarny w wielkie białe grochy kaftanik, z pod którego, ponieważ niezbyt mocno był zapięty, wyglądała nie pierwszej białości koszula; na głowę narzuciła chustkę kraciastą. Popatrzyła chwilkę na męża, kiwając głową.

— Matenkoż ty moja, ty jeszcze nie ubrany, a za dwie godziny goście powinni przyjechać.

— A ty to wystrojona?

— Ja za minutę gotowa, ale z temi dziewkami! przewąchują, że się coś święci, to już ani zapędź do roboty. Wymotłoszyłam Maryśkę, aż mnie kułak boli.

— A ja Hrycia.

Na tę głośną rozmowę małżonków, otworzyły się drzwi od przyległego pokoju i ukazała się w nich wcale ładna panienka.

Świeża, biała, rumiana, jasna blondynka z ładnemi szafirowemi oczkami, ukazała się w pół ubrana, w eleganckiej haftowanej spódniczce i takimże kaftaniczku, w śliczznych trzewiczkach na małych nóżkach, z główką już uczesaną i ufryzowaną po same brwi. Spojrzała srogo prawie na buty ojca, a potem na matkę, stojącą w progu.

— Czas już, wielki czas ubierać się — rzekła z powagą — goście powinni zastać gospodarzy gotowych na ich przyjęcie.

— Ho, ho, ho — grubo zaśmiał się ojciec — wielcy panowie, każą na siebie czekać — a ja bohacz ne bojusia, maju hroszy widkuplusia — zaśpiewał basem i wziął się w boki.

Córka spojrzała z góry.

— Ojciec jeszcze nie ogolony?

— Brodę zapuszczam kochanko — odparł z przekorą, lecz zrejterował się natychmiast. Fela zwróciła się do matki.

— I mama niechże już idzie ubierać się. Czego mama taka czerwona?

— Poirytowałam się na Maryśkę.

— Och te Maryśki i te irytacye! — krzyknęła rów-

nież do irytacyi skłonna córka — można to było na drugi raz odłożyć, a nie dziś. Proszę iść ubierać się i pamiętać wziąć suknię bareżową czarną i czepeczek koronkowy z takimże żabotem.

— Trzeba coś kolorowego, bo będzie smutno, tak cała w czerni tylko, z białemi koronkami.

— Nie trzeba, Mama zaraz lubi z siebie papugę robić, to dawna moda, teraz co innego; niechże mama już idzie!

Zaledwie pani Głocka zwróciła się, by wykonać rozkaz córki, gdy w bramę dziedzińca wjechała kareta, sześcią rosłemi kasztanami zaprzeżona.

— Matko boska, Jezusie Nazareński zmiłuj się nad nami — krzyknęła pani domu — oni jadą, oni, Mioscy!

Lala rzuciła się do drzwi swego pokoju, matka nie chcąc być spostrzeżoną przez gości pomimo obawy powalania strzyżonego dywanu brudnemi pantoflami potoczyła się za córką. Nieszczęście chciało, że spódniczka jej, nie nader nowa, jakąś dziurką zaczepila się o rzeźbę konsolki. Pani Głocka szarpnęła raz i drugi, spódniczka dalej się rozdarła, lecz jeszcze mocniej zasunęła. Powóz zatrzymał się przed gankiem, otwierano drzwiczki, goście wchodzili do domu. Nieszczęśliwa z rozpaczą szarpnęła raz trzeci i jak długa runęła na ziemię.

— Felciu ratuj! o smutkuż mój smutku — jęknęła rozpacznie.

Wleciała panna Fela, porwała matkę pod ręce, nic nie pomogło; niepoczciwy dragan, na którego ogonie zawisła rozdarta aż do listwy spódnica, nie puszczał. Fela bez przytomności rwać zaczęła, nie wiedząc, co robi, aż usłyszawszy głosy tuż obok, uciekła do swego pokoju, zostawiając matkę jej losowi. Drzwi się otworzyły i weszli oczekiwani pani Mioska i jej syn pan Henryk Mioski. Pani Głocka leżała na dywanie w tualecie okrutnie niedbałej, zrozpaczona, bez ruchu, bez oddechu, blizka apopleksyi.

Pan Henryk przybiegł żywo.

— Co to pani, co się stało?

Pani Głocka wpadła na genialny pomysł wyprzeć się samej siebie; mogli jej nie poznać, głowę miała zakrytą.

— To nie ja — zapiszczała nie swoim głosem, cisnąc twarz do dywanu — to nie ja, ja wierna sługa jasnej pani, ja mamka jasnej panienki.

Henryk osłupiał. Kamerdyner Brzózki nie w ciemię bity odczepił suknię, jak mógł najprędzej.

— Idźcie powiedzieć jasnej pani, że pani hrabina i pan hrabia przyjechali — rzekł hardo.

Pani Głocka zawinięta po same oczy, jak na 25 stopni mrozu, z całą gorliwością wybiegła na ogród, wołając przeraźliwie:

— Gdzie jasna pani! gdzie jasna pani!

Kamerdyner, dobrze wychowany człowiek, ani powieką nie mrugnął i wyszedł. Pan Henryk wybuchnął śmiechem.

— To się zaprezentowała.

Pani Mioska okazałej postaci, dość słuszna, niegdyś piękna kobieta, stała, jak posąg zdziwienia.

— Ja tego nie pojmuję, co to jest? czy to ona?

— Ona, pani Głocka.

— Cóż to za ludzie! gdzieżeś mnie przywiózł?

— Do rodziców mojej przyszłej żony!

— Cóż to za ludzie?

— Tacy, jak wszyscy.

— Jak wszyscy, jak wszyscy, o nie jak wszyscy, to są ludzie głupi, to są parweniusze, dość spojrzeć na ten ich salon taki błyszczący, że aż oczy bolą, a sądząc z tego egsemplarza padającego to nic podobnego nigdzie niema. Tylko ty mieszasz się w takie złe towarzystwa, żeś już stracił sentyment delikatności. Tobie wszystko jedno, ty wszystko masz za nic, a mnie wstyd, wstydzę się nie tylko świata, ale moich służących nawet, tego kamerdynera, co widział tę scenę.

Pani Mioska rozdraźniona chodziła po pokoju. Syn śmiał się.

— Czego to mama tak na serce bierze, to tylko śmieszne.

— Ty niczego na serce nie bierzesz, ze wszystkiego się śmiejesz, i ot na czem kończysz! — wybuchnęła z gniewem matka.

— Moja droga mamo! — prędko i niecierpliwie odparł Henryk — primo, proszę się mitygować, powtóre, zwrócić uwagę, że czy z mojej winy, czy też fatalizm, dość, że mam długów wyżej uszu, reputacya także nie wiem z czyjej winy, najgorsza, żadna panna, co ma rozum nie wyjdzie za mnie, tu, moja persona jest wielką personą, panna bardzo bogata, a dziś w świecie co znaczy, jeżeli nie majątek?

— Tak, tak dziś pieniądz jest wszystkiem, a ci ludzie mają tego dosyć, zresztą mogą być bardzo dobrzy, szlachetni. To poczciwi ludzie zapewne.

Ale dwie godziny zawcześnie przyjechaliśmy i państwo muszą się stroić; jak wyjdą niechże się mama nie śmieje, to moja przyszłość. Mama wie, że panna i jej matka przyjęły mnie, ojciec zaś ociąga się z daniem słowa, lecz mamie nie będzie śmiał opierać się, niechże więc mama czasem nie obrazi go, bo trzyma nas w ręku.

— Wiem o tem — westchnęła pani Mioska — i na tę intencyą odmówiłam modlitewkę.

Rozmowę tę prowadzoną półgłosem, przerwało szumne wejście panny Feli. Kiwnęła główką panu Henrykowi, uśmiechnęła się, kurcząc nosek i śmiało zbliżyła się do pani Mioskiej.

— Nie mam potrzeby wymieniać mego nazwiska, bo może znane jest pani — rzekła figlarnie — więc witam panią.

Pani Mioska kilku grzecznemi słowami z miną pełną łaskawej protekcyi zapewniła, że tak jest. Panna śmiało i poufale oddała uścisk, którym ją matka zaszczyciła, podaną zaś sobie dłoń pana Henryka uderzyła z góry, z zalotnem przymrużeniem ładnych oczek i wstrząsnęła nią, jak kobieta wolna od przesądów, pojmująca swe równouprawnienie.

— Pospieszyliśmy się, i może trochę zawcześnie przyjechaliśmy — tłumaczyła pani Mioska — to wina mojego syna.

Panna łaskawie spojrzała.

— Ach nie pani, moja matka natychmiast przyjdzie, jest tak powołaną hortykultorką, że nie zważając na upał, musi być w ogrodzie.

— A ojciec pani, jako agrykultor w polu — wtrącił pan Henryk.

— Ależ nie, tam jest rządca, mój ojciec zapewne... zapewne...

— Pisze dzieła o agronomii.

— Pan Henryk zawsze żartuje.

— Nigdy w życiu, ale wracając do rzeczy, więc tak, ojciec pani agrykultor, matka hortykultorka, a pani czego kultorka? — i młody człowiek oparł się łokciem o stół i dość impertynencko patrzył w oczy panny.

— Panie Henryku, będę się gniewać.

— Ja nie żartuję, mówię zupełnie seryo. Każda osoba inteligentna powinna coś kultywować. Ojciec, powtarzam jest agrykultorem, matka hortykultorką, a pani czego kultorką, poważnie tę kwestyę rozbieramy.

— Ja, kiedy to ma być na seryo, to ja jestem kultywatorką kultury.

— O tom się właśnie pytał, jesteśmy w porządku, a teraz co to jest kultura?

(Ciąg dalszy nastąpi.)



WYDRĄŻONA IGŁA.

Z francuskiego tłum. **R. S.**

(Ciąg dalszy.)

— Jestem tego pewien, rzekł z przekonaniem młody człowiek. Zważmy tylko tę jedną rzecz: pod jakiemi inicyałami korespondowali ze sobą? A. L. N., to znaczy pierwsza litera imienia Arsen i pierwsza i ostatnia nazwiska Lupin.

— Słowo daję, nic oczom pańskim nie ujdzie, zawołał Ganimard, czeka cię świetna przyszłość, a ja stary składam przed tobą broń.

Beautrelet poczerwieniał z radości i uścisnął serdecznie dłoń inspektora.

Wszyscy troje wyszli na balkon, zkąd roztaczał się widok na ruiny.

— Więc tam miałby się znajdować, — szepnął pan Filleul.

— *Tam jest napewno,* rzekł głucho Beautrelet. Tam jest od chwili, w której upadł. Nie mógł przecież ujść, nie będąc widzianym przez pannę de Saint-Véran, ani przez żadnego ze służby.

— Jaki dowód masz pan na to twierdzenie?

— Dowód dali nam sami wspólnicy. Wszakże tego rana jeden z nich przebrał się za woźnicę i przywiózł panów tutaj.

— Aby usunąć kaszkiet, jedyny znak tożsamości.

— Niech będzie, lecz nadewszystko, aby za dnia obejrzeć miejsce, i przekonać się naocznie, co się stało z ich naczelnikiem.

— I myślisz pan, że się przekonał?

— Przypuszczam, gdyż zapewne znał miejsce schronienia. Przypuszczam także, że stan chorego musiał być groźny, bo popełnił, zapewne z żalu tę nieostrożność, że napisał słowa groźby: „Biada panience, jeżeli zabiła naszego przywódcę.“

— Lecz przyjaciele mogli go następnie uprowadzić?

— Kiedy? Przecież ludzie pańscy pilnowali ruin. A następnie, gdzież mianoby go ukryć? W najlepszym razie mogliby go wywieść o jakie pół mili, gdyż konającego daleko wozić nie można, a natenczas byłbyś go pan odszukał. Powiadam panom, że się tam znajduje. Przyjaciele nie mogli by byli mu dać pewniejszego schronienia. Tu dotąd sprowadzili także lekarza, w tym czasie, gdy żandarmi biegli gasić pożar.

— Lecz w jaki sposób żyje? W jaki sposób żyć będzie? przecież, aby nie zmarnieć, potrzeba wody i pewnych pożywień!

— Nic więcej powiedzieć nie mogę... Nic nie wiem.... Lecz przysięgam, że tam się ukrywa. Tam się znajduje, gdyż gdzieindziej być nie może. Jestem tak pewnym jakbym go dotykał.

Palcem wskazał na ruiny, i zatoczył mały krąg, który równał się punktowi. Owego to punktu szukali obaj koledzy z taką niezachwianą wiarą, jak Izydor Beatrelet, którą swoją pewnością na nich przeniósł. Tak, Arsen Lupin, tam był. Ni jeden, ni drugi nie wątpił o tem.

Jakieś tragiczne wrażenie ogarnęło ich na myśl, że tam, o kilka kroków, w mrocznem ukryciu, leżał bez pomocy, zgłodniały i we febrze na świat cały znany awanturnik.

— A jeżeli umrze? zapytał szeptem pan Filleul.

— Jeżeli umrze, rzekł Beautrelet, jeżeli się wspólniey o śmierci dowiedzą, czuwaj pan nad bezpieczeństwem panny de Saint-Véran, bo zemsta będzie straszna.

Kilka minut później, mimo próśb ze strony pana Filleul, Beautrelet wyjechał do Dieppe, gdyż wakacye jego kończyły się tego właśnie dnia . Do Paryża przybył koło piątej, a o ósmej porówno z kolegami, przestąpił próg liceum Janson.

Ganimard, po drobiazgowem, a mimo to bezowocnem przeszukaniu ruin Ambrumésy wyjechał wieczornym kuryerem. Przyszedłszy do siebie zastał następującą wiadomość:

„Panie Inspektorze!

„Mając wieczorem chwilę czasu, mogłem zebrać kilka wiadomości, które myślę, że pana zainteresują.

„Od roku Arsen Lupin mieszka w Paryżu pod nazwiskiem Etienne (Stefan) de Vaudreix. Musiałeś pan zauważyć, że nazwiskiem tem często były podpisywane rozmaite artykuły, szczególniej sportowe. Dużo podróżuje, swoją nieobecność tłomaczy tem, że idzie, jak mówi, do Bengalu polować na tygrysy lub do Syberyi na niebieskie lisy. Zajęty podobno rozlicznemi interesami, których nikt nie potrafi bliżej określić.

„Mieszka obecnie na ulicy Marbeuf nr. 36. (Proszę zauważyć, że ulica Marbeuf leży w obrębie pocztowego biura nr. 45.) Od czwartku 23-go kwietnia, t. j. od wigilii napaści na Ambrumésy, Etienne de Vaudreix nie dał znaku o sobie.

„Dziękując za okazaną życzliwość, racz przyjąć, panie Inspektorze, wyrazy głębokiego szacunku.

„Izydor Beautrelet.

„Post-Scriptum. — Tylko nie myśl pan czasem, że miałem wielkie trudności, aby zdobyć tych kilka informacyj. Rano w dzień morderstwa, gdy pan Filleul prowadził śledztwo, przyszła mi szczęśliwa myśl, obejrzenia kaszkietu, zanim pseudo-woźnica go zamienił. Nazwisko kapelusznika, starczyło mi, aby się dowiedzieć o nazwisku posiadacza i jego mieszkaniu.“

Na drugi dzień rano, Ganimard udał się na ulicę Marbeuf pod wskazanym numerem. Zebrawszy rozmaite wiadomości u odźwiernego, kazał sobie otworzyć pomieszkanie parterowe na prawo. Pomieszkanie to było urządzone elegancko, z komfortem, lecz nie znalazł w niem nic, jeno garść popiołu w kominku. Cztery dni przedtem jacyś dwaj panowie popalili kompromitujące listy.

Wychodząc z pomieszkania, Ganimard napotkał listowego, który miał list do Stefana de Vaudreix.

Po południu, zawiadomiony o sprawie trybunał, żądał wydania listu. List ten był wysłany z Ameryki i zawierał po angielsku co następuje:

„Panie!

„Potwierdzam listownie odpowiedź, którą dałem pańskiemu agentowi. W chwili, gdy będziesz pan w posiadaniu czterech obrazów pana de Gesvres, nadeszlij je pan znanym sposobem.

„Dołącz pan resztę, jeżeli się uda, chociaż wątpię.

„Nieprzewidziane interesy spowodowały, że muszę wyjechać, przybędę równocześnie z listem. Stanę w Grand-Hotel.

„Podp.: Harlington.“

Tego samego dnia Ganimard, zaopatrzony w mandat aresztowania, przydybał pana Harlington'a, obywatela amerykńskiego, który na mocy współudziału kradzieży dostał się pod klucz.

Tak więc, w dwudziestu czterech godzinach dzięki informacyom niespodzianym siedmnastoletniego chłopca, zawiła ta sprawa powoli wychylała się na światło dzienne. W dwudziestu czterech godzinach został wykryty plan, którym wspólnicy ocalić chcieli swego szefa. Pochwycenie więc rannego, konającego Arsena Lupin nie przedstawiało trudności. Banda rozproszona, znano jego miejsce pobytu w Paryżu, nazwisko, pod którem się krył, i poznano dokładnie plan całego przedsięwzięcia, jednego z najśmielszych, który najwięcej narobił wrzawy.

Publiczność nie wychodziła z podziwu, zachwytu i ciekawości. W „Journal de Rouen“ pojawił się udatny artykuł, który opisywał pierwsze przesłuchy młodego retoryka, jego słodycz, wdzięk naiwny i spokój. Pochwały pana Filleul i inspektora Ganimard, których zachwyt nie miał granic, dały poznać publiczności, jaką rolę odegrał Izydor Beautrelet. On sam zrobił wszystko. Jemu należała się sława i cześć z odniesionego zwycięstwa.

Publiczność ogarnął szał. Z dnia na dzień stawał się Beautrelet coraz większym bohaterem. Publiczność nienasycona, chciała co raz ściślejszych informacyj, tyczących się jej nowego faworyta. To też reporterzy oblegali liceum Janson de Sailly notując pochwycone od kolegów najmniejsze o nim szczegóły. Ogół dowiedział się więc o zdolnościach jego i o reputacyi, jaką się cieszył wśród kolegów. Nazwano go rywalem Sherlocka Holmèsa.

Profesorowie zaś urządzali sobie rodzaj rozrywki, zadając Izydorowi Beautrelet najzawilsze pytania, na które dawał z wrodzonym spokojem, nadzwyczaj jasne i przekonywujące odpowiedzi.

Najciekawszą rzeczą było dziełko, które w kilkunastu egzemplarzach przechodziło z rąk do rąk wszystkich uczniów liceum. Dziełko to nosiło tytuł: **Arsen Lupin,** jego metoda, w czem jest klasyczna, a w czem oryginalna.

Było to głębokie studyum wszystkich awantur Arsena Lupin, w którem przebiegłość znanego włamywacza ukazywała się z zadziwiającą dokładnością. W tem dziełku przedstawił mechanizm jego działania, specyalną taktykę, jego listy drukowane w pismach, jego groźby, jego zapowiadanie o przyszłej kradzieży, słowem wszystkie wybiegi, jakimi umiał ogłupić swoje ofiary, tak że w końcu, każda rzecz działa się poniekąd z przyzwoleniem odnośnej osoby.

Dziełko to było napisane tak jasno, i żywo z ironią zarówno naiwną jak nielitościwą, że publiczność prawie na rękach nosiła ulubieńca, i w walce, która rozpoczęła się między Izydorem Beautrelet a Arsenem Lupin, przepowiadała zwycięztwo młodemu retorykowi.

Możność tego zwycięztwa była jeszcze w bardzo dalekiej przyszłości.

Mimo wszelkich zabiegów nie można było dowieść panu Harlingtonowi tożsamości nazwiska, ani przynależności do bandy Arsena Lupin. Milczał uparcie. Po zbadaniu zaś charakteru jego ręki nie śmiano prawie przypisywać mu autorstwa listu. Wiedziano tyko, że jakiś pan Harlington stanął w Grand-Hotel'u z małą torebkką i wypchanym banknotami portfelem — to wszystko.

I w Dieppe sprawa ta nic dalej nie postępowała. Pan Filleul spoczywał na laurach zdobytych przez Izydora Beautrelet. Nie wykryto dotychczas, kim był człowiek, widziany w przeddzień morderstwa przez pannę de Saint-Véran, a który miał być podobny do Izydora Beautrelet. Również nie zbadano, co się stało z czterema obrazami, ani nie wyśledzono, w którą stronę udał się automobil, uwożący cenne te zabytki.

Wprawdzie w Luneray, w Yerville i w Yvelot spostrzeżono ślady gum automobilowych, nawet w Caudebec-en- Caux były takież ślady gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa musieli się promem przedostać na drugą stronę Sekwany. Po gruntowniejszych poszukiwaniach odnaleziono nawet automobil, lecz jednozgodnie orzeczono, że byłoby rzeczą nie możliwą, aby można było w nim ukryć cztery obrazy tych rozmiarów, aby nie były zauważone przez ludzi, znajdujących się na promie.

Znaleziono więc automobil, lecz pytano się znowu, co stało się z owymi obrazami?

Na te wszystkike pytania, pan Filleul nie umiał znaleźć odpowiedzi. Również poszukiwania w ruinach nie odnosiły pożądanego skutku. Codziennie podwładni z p. Filleul na czele przeszukiwali wszelkie zakątki miejsca wskazanego przez Izydora Beautrelet, lecz nie znaleziono i cienia możliwości, gdzieby Arsen Lupin — jeżeli dowodzenia Izydora były słuszne — mógł się tak długo ukrywać.

Jest więc rzeczą zupełnie naturalną, że zwrócono się do Izydora, ponieważ on sam był zdolny rozproszyć ciemności, które po cofnięciu się jego stały się jeszcze więcej nieprzeniknione. Dlaczegoż nie zapalał się do tej sprawy? Przecież tak świetnie rozpoczęta, nie sprawiałaby wiele trudu, aby ją doprowadzić do ostatecznego rozwiązania.

Pytanie to zadał młodemu człowiekowi pewien redaktor „Grand Journalu“, na co Izydor odpowiedział mu spokojnie:

— Kochany panie, nie tylko Arsen Lupin jest na świecie, i historye o awanturnikach i detektywach, lecz także ta rzeczywistość, która się zwie egzaminem. Składamy go w lipcu. Teraz mamy maj, a nie chciałbym przepaść, coby bowiem mój ojciec na to powiedział?

— Lecz cieszyłby się bardzo, gdybyś w ręce sprawiedliwości oddał Arsena Lupin!

— Ba! na wszystko czas się znajdzie. Na przyszłe wakacye....

— Zielonych Świątek?

— Tak. Pojadę tam w sobotę 6-go czerwca pierwszym pociągiem.

— A wieczorem tejże soboty Arsen Lupin będzie schwytany.

— Dasz mi pan czas do niedzieli? zapytał śmiejąc się Beautrelet.

— Pocóż ta zwłoka? odrzekł zupełnie seryo.

Niewytłomaczone zaufanie ogarnęło wszystkich, ślepo mu wierzono. Spodziewano się od niego nadzwyczajności. Szósty czerwiec! Datę tę powtarzały wszystkie gazety. Szóstego czerwca Beautrelet pierwszym pociągiem przybędzie do Dieppe, a wieczorem Arsen Lupin będzie pochwycony.

— Pod tym warunkiem, że przez ten czas nie ujdzie, dorzucali przyjaciele awanturnika.

— Niemożliwe! Wszelkie ostrożności są przewidziane.



Wśród walki z losem.

15) Wolny przekład z angielskiego przez **S. B.**

Walenty Merrick niespokojnemi krokami przemierzał swój pokój. Rezultat jego rozmowy z Percym nie zadowolnił go wcale. Wpływ, jaki Helena Barklay wywarła na życie młodego człowieka, budził poważne troski. Że odrzuciła rękę Percego, widział w tem tylko nowy dowód jej chytrości, mającej na celu to, by słabego młodzieńca więcej jeszcze do siebie przywiązać, i użyć go jako środek, za pomocą którego odzyskiwałaby napowrót wstęp do świata. Im się dłużej nad tem zastanawiał, tem się silniej w tem przekonaniu utwierdzał, jakkolwiek to i owo nie zupełnie mu było jasnem. Poczęły się w nim budzić jakoweś wątpliwości, z których sobie zdać sprawy nie umiał, a które mu podejrzaną ową kobietę wobec jej smutku i idealnej piękności przedstawiały jako zagadkę, na rozwiązanie, której rozum jego nie starczył.

— Niebezpieczna w najwyższym stopniu — mówił sam do siebie — tem niebezpieczniejsza teraz, gdy rzeczy tak stanęły. Muszę Percego ratować pomimo jego woli, ona nie powinna żyć w jego pobliżu, trzeba koniecznie ich rozłączyć.

Ona mądra i wyrachowana, on słaby aż do głupoty. Jak tu gorąco tej nocy, niepodobna prawie oddychać przy zapuszczonych sztorach i pozamykanych oknach; Percy miał słuszność.

Otworzył okno, postawił lampę na stoliku umieszczonym we framudze okna i rzucił się na krzesło. — Ciekawym, czy też będę wyglądał, jak upiór, jak poprzednio Percy — mówił dalej, a pochyliwszy się naprzód i zapaliwszy cygaro otworzył nieszczęsne dokumenta.

— „Proces Heleny Barklay,“ — przeczytał głośno tytuł artykułu w gazecie. — Proces Heleny Barklay! — Jeżeli tenże na kobietę niewinną sprowadził nędzę i niedolę, jemu natomiast przyniósł sławę i powodzenie, albowiem od tegoż czasu praktyka jego poczęła wzrastać olbrzymio. Był to człowiek, który szybkim krokiem dążył do wyniesienia, a osobliwym sposobem owa kobieta przyczyniła się mimo woli, by mu drogę do tego wyniesienia znacznie ułatwić. Tak rozmyślając upuścił papiery na kolana i tak się w swej zadumie pogrążył, że zapomniał o swem cygarze, które tymczasem zgasło i musiał je na nowo zapalić, zanim się wziął na nowo do czytania. Ponieważ rzecz, o której pisma traktowały, znał na wylot, czytanie wkrótce ukończył. Wszystko było jasnem i dowiedzionem: przyczyna, pobudki, pokusa i zbrodnia. Tutaj chodziło o kobietę, która się stała bogatą, niezmiernie bogatą, a która jednym zamachem uwolniła się od gniotącego ją jarzma.

— Gdyby Michał Barklay nie był takim tyranem — myślał Walenty — toby jego żona nie była tak łatwo uszła ręki oprawcy. Tak, gdyby smok otruł był Wenus, a nie Wenus smoka, to biedny Barklay byłby dyndał na szubienicy tak wysoko jak Aman; to pewna. Ale Helena, niezrównana, boska Helena, ta uszła cało.

Związał napowrót papiery czerwonym sznurkiem. Odczytał je dokładnie nie napotkowszy nigdzie na żaden punkt budzący jakiekolwiek wątpliwości. Wszystko było jasnem i udowodnionem; nie dziw więc, że biedny Percy tak był zgnębiony twierdzeniami, których zbić nie mógł. Walenty Merrick powstał i przeciągnął się, a rzuciwszy resztę cygara wychylił się oknem, chcąc rzucić jeszcze jedno spojrzenie na rozkoszny nocny krajobraz. Owiane lekką mgłą trawniki i oblane lazurowem światłem księżyca połyskiwały przed jego oczyma tysiącami dyamentów i jeżeli ten widok nie wywołał w piersi jego uczucia zachwytu i uwielbenia, to natomiast wyrwał z ust jego grubą klątwę.

Do djabła, co to ma znaczyć? — zawołał — ujrzawszy Percego idącego spiesznym krokiem w kierunku Weddercombe. Tak, to był Percy, nie mylił się wcale. Widok Percego Andison wykradającego się w ten sposób z domu, gdzie każdy był przekonany, że zasypia w najlepsze, zabolał go mocno. Więc już przyszło do porozumienia i schadzek. Nikczemna kobieta korzystając z jego niedoświadczenia wabi go do siebie, a on łatwowierny, jak dziecko, rzuca się na oślep w przepaść. Nie, do tego przyjść nie powinno, do tego on nie dopuści, Percemu naprzekór ratować go musi. Cokolwiekbądź nastąpi, nie myślał o tem, w każdym razie musi on w to wkroczyć dla Percego, dla Flory dobra. W rozpaczliwych wypadkach chwytamy się rozpaczliwych środków.

Zgasił światło, chwycił za kapelusz i spuścił się oknem do ogrodu nie pomyślawszy nawet nad tem, w jaki sposób za powrotem do domu się dostanie. Miał teraz jednę tylko myśl, by stanąć pomiędzy Percym Andison a Heleną Barkley i schwycić ich na gorącym uczynku. Przedewszystkiem musi dogonić Percego i przywieść go do rozumu, jeżeli Percy do rozumu wogóle przywieść się da. Lecz w ciemnościach zalegających park po większej części, wkrótce Percy znikł mu z przed oczu. Ten ostatni jako miejscowy znał dokładnie położenie, co Walentemu dopiero przyszło na myśl, gdy się znalazł w gęstych zaroślach. Wydostawszy się na wolniejsze miejsce rozejrzał się na wszystkie strony, lecz daremnie, nigdzie nie dojrzał śladu ludzkiej istoty. Szedł więc dalej z mocnem postanowieniem nie wracania prędzej, dopóki nie dopnie swego celu, rzucając w koło siebie bacznem okiem. W Weddercombe znajdzie go z pewnością, gdzie żyła ta owa kobieta morderczyni swego męża, która teraz głosiła swą niewinność kłamaną. Przeskoczył parkan oddzielający posiadłość sir Andisona od posiadłości Heleny Barklay i szedł śmiałym krokiem naprzód. Przypomnienie spotkania się poprzedniego rana z Heleną poprowadziło go w pewnym kierunku i instynktownie obrał drogę do domuku gajowego.

Noc była jasna, niebo błyszczało miliardami gwiazd, tylko to, co otaczało Weddercombe, kryło się w cieniu, tak jak życie jego właścicielki. Drzewa stały tutaj tak blizko siebie, że poza splecione ich konary światło księżyca przedrzeć się nie mogło, i tylko spojrzawszy w górę można było od czasu do czasu pochwycić błyskotliwy promyk gwiazdy.

— Znalazłszy się przed domkiem gajowego siadł na kłodzie sosnowej, na której rano siedział był z Heleną Barklay. Nie było to zbyt przyjemne i dogodne miejsce do wypoczyn-

„Panie!

„Potwierdzam listownie odpowiedź, którą dałem pańskiemu agentowi. W chwili, gdy będziesz pan w posiadaniu czterech obrazów pana de Gesvres, nadeszlij je pan znanym sposobem.

„Dołącz pan resztę, jeżeli się uda, chociaż wątpię.

„Nieprzewidziane interesy spowodowały, że muszę wyjechać, przybędę równocześnie z listem. Stanę w Grand-Hotel.

„Podp.: Harlington.“

Tego samego dnia Ganimard, zaopatrzony w mandat aresztowania, przydybał pana Harlington'a, obywatela amerykńskiego, który na mocy współudziału kradzieży dostał się pod klucz.

Tak więc, w dwudziestu czterech godzinach dzięki informacyom niespodzianym siedmnastoletniego chłopca, zawiła ta sprawa powoli wychylała się na światło dzienne. W dwudziestu czterech godzinach został wykryty plan, którym wspólnicy ocalić chcieli swego szefa. Pochwycenie więc rannego, konającego Arsena Lupin nie przedstawiało trudności. Banda rozproszona, znano jego miejsce pobytu w Paryżu, nazwisko, pod którem się krył, i poznano dokładnie plan całego przedsięwzięcia, jednego z najśmielszych, który najwięcej narobił wrzawy.

Publiczność nie wychodziła z podziwu, zachwytu i ciekawości. W „Journal de Rouen“ pojawił się udatny artykuł, który opisywał pierwsze przesłuchy młodego retoryka, jego słodycz, wdzięk naiwny i spokój. Pochwały pana Filleul i inspektora Ganimard, których zachwyt nie miał granic, dały poznać publiczności, jaką rolę odegrał Izydor Beautrelet. On sam zrobił wszystko. Jemu należała się sława i cześć z odniesionego zwycięstwa.

Publiczność ogarnął szał. Z dnia na dzień stawał się Beautrelet coraz większym bohaterem. Publiczność nienasycona, chciała co raz ściślejszych informacyj, tyczących się jej nowego faworyta. To też reporterzy oblegali liceum Janson de Sailly notując pochwycone od kolegów najmniejsze o nim szczegóły. Ogół dowiedział się więc o zdolnościach jego i o reputacyi, jaką się cieszył wśród kolegów. Nazwano go rywalem Sherlocka Holmèsa.

Profesorowie zaś urządzali sobie rodzaj rozrywki, zadając Izydorowi Beautrelet najzawilsze pytania, na które dawał z wrodzonym spokojem, nadzwyczaj jasne i przekonywujące odpowiedzi.

Najciekawszą rzeczą było dziełko, które w kilkunastu egzemplarzach przechodziło z rąk do rąk wszystkich uczniów liceum. Dziełko to nosiło tytuł: **Arsen Lupin,** jego metoda, w czem jest klasyczna, a w czem oryginalna.

Było to głębokie studyum wszystkich awantur Arsena Lupin, w którem przebiegłość znanego włamywacza ukazywała się z zadziwiającą dokładnością. W tem dziełku przedstawił mechanizm jego działania, specyalną taktykę, jego listy drukowane w pismach, jego groźby, jego zapowiadanie o przyszłej kradzieży, słowem wszystkie wybiegi, jakimi umiał ogłupić swoje ofiary, tak że w końcu, każda rzecz działa się poniekąd z przyzwoleniem odnośnej osoby.

Dziełko to było napisane tak jasno, i żywo z ironią zarówno naiwną jak nielitościwą, że publiczność prawie na rękach nosiła ulubieńca, i w walce, która rozpoczęła się między Izydorem Beautrelet a Arsenem Lupin, przepowiadała zwycięztwo młodemu retorykowi.

Możność tego zwycięztwa była jeszcze w bardzo dalekiej przyszłości.

Mimo wszelkich zabiegów nie można było dowieść panu Harlingtonowi tożsamości nazwiska, ani przynależności do bandy Arsena Lupin. Milczał uparcie. Po zbadaniu zaś charakteru jego ręki nie śmiano prawie przypisywać mu autorstwa listu. Wiedziano tyko, że jakiś pan Harlington stanął w Grand-Hotel'u z małą torebkką i wypchanym banknotami portfelem — to wszystko.

I w Dieppe sprawa ta nic dalej nie postępowała. Pan Filleul spoczywał na laurach zdobytych przez Izydora Beautrelet. Nie wykryto dotychczas, kim był człowiek, widziany w przeddzień morderstwa przez pannę de Saint-Véran, a który miał być podobny do Izydora Beautrelet. Również nie zbadano, co się stało z czterema obrazami, ani nie wyśledzono, w którą stronę udał się automobil, uwożący cenne te zabytki.

Wprawdzie w Luneray, w Yerville i w Yvelot spostrzeżono ślady gum automobilowych, nawet w Caudebecen- Caux były takież ślady gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa musieli się promem przedostać na drugą stronę Sekwany. Po gruntowniejszych poszukiwaniach odnaleziono nawet automobil, lecz jednozgodnie orzeczono, że byłoby rzeczą nie możliwą, aby można było w nim ukryć cztery obrazy tych rozmiarów, aby nie były zauważone przez ludzi, znajdujących się na promie.

Znaleziono więc automobil, lecz pytano się znowu, co stało się z owymi obrazami?

Na te wszystkike pytania, pan Filleul nie umiał znaleźć odpowiedzi. Również poszukiwania w ruinach nie odnosiły pożądanego skutku. Codziennie podwładni z p. Filleul na czele przeszukiwali wszelkie zakątki miejsca wskazanego przez Izydora Beautrelet, lecz nie znaleziono i cienia możliwości, gdzieby Arsen Lupin — jeżeli dowodzenia Izydora były słuszne — mógł się tak długo ukrywać.

Jest więc rzeczą zupełnie naturalną, że zwrócono się do Izydora, ponieważ on sam był zdolny rozproszyć ciemności, które po cofnięciu się jego stały się jeszcze więcej nieprzeniknione. Dlaczegoż nie zapalał się do tej sprawy? Przecież tak świetnie rozpoczęta, nie sprawiałaby wiele trudu, aby ją doprowadzić do ostatecznego rozwiązania.

Pytanie to zadał młodemu człowiekowi pewien redaktor „Grand Journalu“, na co Izydor odpowiedział mu spokojnie:

— Kochany panie, nie tylko Arsen Lupin jest na świecie, i historye o awanturnikach i detektywach, lecz także ta rzeczywistość, która się zwie egzaminem. Składamy go w lipcu. Teraz mamy maj, a nie chciałbym przepaść, coby bowiem mój ojciec na to powiedział?

— Lecz cieszyłby się bardzo, gdybyś w ręce sprawiedliwości oddał Arsena Lupin!

— Ba! na wszystko czas się znajdzie. Na przyszłe wakacye....

— Zielonych Świątek?

— Tak. Pojadę tam w sobotę 6-go czerwca pierwszym pociągiem.

— A wieczorem tejże soboty Arsen Lupin będzie schwytany.

— Dasz mi pan czas do niedzieli? zapytał śmiejąc się Beautrelet.

— Pocóż ta zwłoka? odrzekł zupełnie seryo.

Niewytłomaczone zaufanie ogarnęło wszystkich, ślepo mu wierzono. Spodziewano się od niego nadzwyczajności. Szósty czerwiec! Datę tę powtarzały wszystkie gazety. Szóstego czerwca Beautrelet pierwszym pociągiem przybędzie do Dieppe, a wieczorem Arsen Lupin będzie pochwycony.

— Pod tym warunkiem, że przez ten czas nie ujdzie, dorzucali przyjaciele awanturnika.

— Niemożliwe! Wszelkie ostrożności są przewidziane.

— Lecz może umrzeć, mawiali zwolennicy, którzy woleliby jego śmierć, niż jego więzienie.

— Ale cóż znowu. Gdyby umarł, wspólnicy wiedzieliby o tem, iż Lupin zostałby pomszczony.

Nadszedł szósty czerwiec. Kilku dziennikarzy oczekiwało go na dworcu Saint-Lazare. Dwóch chciało koniecznie jechać, lecz Izydor prosił ich, aby swój zamiar cofnęli.

Jechał więc sam. W przedziale nie było nikogo. Zmęczony kilku bezsennemi nocami zasnął twardo. We śnie miał wrażenie, że pociąg stawał na kilku stacyach, i że rozmaite osoby wsiadały i wysiadały. Jednakowoż przebudziwszy się niedaleko Rouen, był znowu samotny. Lecz na siedzeniu naprzeciw uwagę jego zwrócił duży arkusz papieru, przypięty szpilką do siedzenia, na którym były te słowa:

„Niech się każdy troszczy o swoje sprawy. Zajmij się również swojemi. Jeżeli nie usłuchasz, tem gorzej dla ciebie.“

—Doskonale! wykrzyknął, zacierając ręce! Źle się dzieje widocznie w obozie nieprzyjacielskim. Groźba ta jest również głupia i ordynarna jak owego pseudo-woźnicy. Co za styl. Widać, że Arsen Lupin, nie stoi jeszcze na czele.

Pociąg wjchał w tunel, który poprzedza odwieczne miasto Normandyi. Na stacyi Beautrelet przeszedł się kilka razy po peronie, aby wyprostować członki. Chciał właśnie wchodzić do przedziału, gdy okrzyk wydarł mu się z piersi. Przechodząc koło biblioteki, na pierwszej stronie „Journal de Rouen“ przeczytał pobieżnie słów kilka, których przestraszające znaczenie zrozumiał:

„Z ostatniej chwili. — Donoszą nam telefonem z Dieppe, że dzisiajszej nocy złoczyńcy dostali się do zamku Ambrumésy, a zakneblowawszy i skrępowawszy pannę de Gesvres, wykradli pannę de Saint-Véran. Ślady krwi zauważono, o jakie pięćset metrów od zamku, w pobliżu znaleziono chustkę krwią zbryzganą. Zachodzi obawa, czy młoda dziewczyna nie została zamordowaną.“

Przez całą drogę do Dieppe Beautrelet nie poruszył się. Siedział zgięty, łokcie oparł o kolana a rękoma podtrzymując głowę myślał.

W Dieppe najął furmankę. W Ambrumesy spotkał sędziego śledczego, który mu potwierdził okropną tę wiadomość.

— I nic pan więcej nie wiesz? zapytał Beautrelet.

— Nic. Przybyłem w tej chwili.

W tej samej chwili brygadyer żandarmeryi wręczył panu Filleul kawałek papieru, który znalazł obok pokrwawionej chustki. Papier ten był zgnieciony, zżółkły i poszarpany. Pan Filleul obejrzał go dokładnie i podał Izydorowi Beautrelet mówiąc:

— Ten świstek nie na wiele nam się przyda w naszych poszukiwaniach.

Izydor przyglądał mu się ze wszystkich stron. Papier ten zawierał liczby, kropki, rozmaite znaki i przedstawiał się mniejwięcej jak następuje:

2 . 1 . 1 . . 2 . . 2 . . 1 . . 1 . .
1 . . . 2 . .   . 2 . 43 . 2 . . 2 .
. 45 . . 2 . 4 . . . 2 . . 2 . 4 . . 2 .

D DF ◺ 19 F + 44 ◺ 357 ◿

13. 53 . . 2   . . 25 . 2 .

ROZDZIAŁ III.

Koło szóstej wieczorem skończywszy swoją czynność pan Filleul ze swym sekretarzem panem Brédoux, czekał na konie, które go miały odwieść do Dieppe. Był zdenerwowany i niezadowolony. Co chwilę pytał:

— Nie widział kto młodego Beautrelet?

— Nie, panie sędzio.

— Do dyabła, gdzież on się ukrywa? Przez cały dzień nikt go nie widział.

Naraz przyszła mu myśl do głowy, powierzył tekę sekretarzowi Brédoux, a sam okrężając pałac, udał się do ruin.

Blizko wielkiej arkady znalazł Izydora Beautrelet. Leżał na wznak, na kobiercu z igliwia, jedną rękę podłożywszy pod głowę, zdawał się drzemać.

— Hej! cóż porabiasz młodzieńcze Śpisz?

— Nie śpię. Myślę tylko.

— Od samego rana?

— Tak od rana.

— Myśleć nie starczy. Trzeba najpierw badać fakta, obejrzeć ślady, utworzyć sobie jakieś pojęcie. Potem dopiero, łącząc jedno z drugiem i zastanawiając się, można dojść do prawdy.

— Tak, wiem.... Jest to metoda zwyczajna,.... i dobra zapewne. Lecz ja mam inną... najpierw zastanawiam się, i staram się rozpoznać myśl przewodnią — zdarzenia, że się tak wyrażę. Następnie utworzę sobie hipotezę rozsądną i logiczną, stosowną do tej myśli. Wtenczas dopiero patrzę, czy znane fakta dadzą się przystosować do mojej hipotezy.

— Dziwna metoda! i bardzo skomplikowana!

— Lecz pewna, panie sędzio, podczas gdy pańska nią nie jest.

— Ależ cóż znowu! fakta faktami zostaną.

— Ze zwykłymi przeciwnikami, tak. Lecz jeżeli przeciwnik działa podstępnie, natenczas fakta są takiemi, jakiemi on chce, aby były. Jeżeli więc chodzi o Arsena Lupin, możesz pan na każdym kroku napotkać sprzeczności i wejść na fałszywe poszlaki. Nawet Sherlock Holmes wpadł w potrzask!

— Arsen Lupin nie żyje.

— Przypuśćmy. Lecz banda jego została, a uczniowie takiego mistrza, sami są mistrzami.

Pan Filleul pochwycił Izydora za ramię i, prowadząc go, szepnął:

— To są frazesy, młodzieńcze, o co innego chodzi. Słuchaj tylko. Ganimard na razie musiał zostać w Paryżu, przybędzie dopiero za kilka dni. Hrabia de Gesvres zaś telegrafował do Sherlocka Holmesa, który obiecał swój przyjazd na przyszły tydzień. Jakby to było, młodzieńcze, gdybyśmy mogli powiedzieć tym panom: „Żałujemy bardzo, lecz nie mogliśmy dłużej czekać. Sprawa ukończona?“

Nie można było wyznać swą nieudolność z większą przebiegłością, jak to uczynił poczciwy pan Filleul. Beautrelet zdusił uśmiech, i udając, że nie rozumie o co chodzi, odrzekł:

— Wybacz, panie sędzio, że nie byłem obecnym przy dokonanych przesłuchach, lecz mam nadzieję, że mi je pan opowiesz. Cóż pan wiesz, panie sędzio?

— Więc słuchaj. Wczoraj o 11 wieczorem, trzej żandarmi, których Quevillon zostawił w zamku na straży, odebrali rozkaz, niby przez tegoż, że mają się natychmiast udać do Ouville, gdzie stoi ich brygada. Dosiedli koni, lecz gdy przyjechali do Ouville...

— Przekonali się, że z nich zadrwiono i nie pozostawało im nic innego, jak udać się z powrotem do Ambrumésy.

— To też uczynili pod przewodnictwem brygadyera Quevillon. Lecz nieobecność ich trwała półtorej godziny, przez ten czas popełniono zbrodnię.

— W jaki sposób?

— W sposób najprostszy. Przystawili do drugiego piętra drabkę, wybili jedną szybę, aby módz otworzyć okno. Dwóch ludzi, zaopatrzonych w ślepą latarkę weszło do pokoju panny de Gesvres i zakneblowali jej usta w mgnieniu oka, tak, że nie miała czasu wołać o pomoc. Następnie, przywiązawszy ją powrozami, udali się po cichu do sąsiedniego pokoju panny de Saint-Véran. Panna de Gesvres usłyszała przygłuszony jęk i hałas walki. Kilka minut później widziała dwóch ludzi, niosących jej kuzynkę, również skrępowaną z zakneblowanemi ustami. Przeszli koło niej i wyszli oknem. Ze strachu i ze zmęczenia panna de Gesvres zemdlała.

— Cóż się stało z psami? Przecież pan de Gesvres kupił dwa psy, bardzo złe, które na noc spuszczano.

— Znaleziono je otrute.

— Lecz kto je otruł? Dojść do nich przecież nie było można!

— Tajemnica! To jest tylko wiadomą rzeczą, że ludzie ci, uprowadzając pannę de Saint-Véran, bez przeszkód przeszli koło ruin i uszli wiadomą nam furtką. Następnie udali się do lasku i dopiero około pięćset kroków, za pałacem, dokonali morderstwa.

— Dlaczego nie zamordowali pannę de Saint-Véran w jej pokoju, jeżeli przyszli z tym zamiarem?

— Nie wiem. Może zamiar ten powzięli po wyjściu z pałacu. A może dziewczyna zdołała się wyrwać z więzów! Mojem zdaniem znaleziona chustka, musiała służyć do związania jej rąk. W każdym razie tam w tem miejscu musieli ją zamordować, mam na to niezbite dowody.

— Cóż się z ciałem stało?

— Ciała nie znaleziono, zresztą nie ma w tem nic dziwnego, albowiem, idąc śladem krwi, doszedłem do starego cmentarza w Varengeville, który wznosi się nad urwiskiem o jakie sto metrów. Na dnie przepaści skały, morze. Łatwem jest, że jakiś silniejszy przypływ morza, wyrzuci ciało za dni kilka.

— Oczywiście! Rzecz tak prosta.

— Tak. Zdarzenie jest tak proste, że nie sprawia mi żadnych trudności. Lupin umarł, wspólnicy dowiedziawszy się o tem z zemsty, tak, jak pisali, uprowadzili pannę de Saint-Véran i zamordowali ją. Są to fakta tak pewne i jasne, że nie potrzebują być lepiej zbadane. Lecz Lupin?

— Lupin?

— Tak. Cóż się z nim stało? Prawdopodobnie zwłoki jego uprowadzili równocześnie, wykradając pannę de Saint-Véran. Lecz gdzież dowód takiego przypuszczenia? Nie mamy również dowodu, że tam w tych ruinach było jego schronienie. Braknie nam dowodu, że tam żył i umarł. W tem tkwi tajemnica, panie Beautrelet. Morderstwo panny Rajmundy nie jest rozwiązaniem sprawy, przeciwnie, jest jedną komplikacyą więcej. Jeżeli my nie dojdziemy, co się działo, przez te dwa miesiące, to przyjdą inni, którzy zajmą nasze miejsce, może z lepszem powodzeniem.

— Kiedy przyjadą ci drudzy?

— W środę... może już we wtorek...

Beautrelet robił po cichu jakieś obliczenia , wreszcie rzekł:

— Panie sędzio, mamy dzisiaj sobotę. W poniedziałek wieczór kończą się moje wakacye. Byłbyś pan może łaskaw stawić się tutaj w poniedziałek rano o 10 godz.? Zdołam może rozwiązać panu tę zagadkę.

— Doprawdy, panie Beautrelet... myślisz pan? Jesteś pan pewny?

— Mam nadzieję przynajmniej.

— Dokąd teraz idziesz?

— Idę się przekonać, czy fakta będę mógł dostosować do przewodniej myśli, którą zaczynam pojmować.

— A zatem do widzenia, do poniedziałku.

— Do poniedziałku.

W kilka minut później pan Filleul jechał w stronę Dieppe. Beautrelet tymczasem, pożyczywszy sobie roweru od hrabiego de Gesvres udał się w stronę Yerville i Caudebec-en-Caux.

Nad jednym szczegółem przedewszystkiem zastanawiał się młody człowiek i chciał sobie wytworzyć jasną opinię, zdawało mu się bowiem, że z tej strony najprędzej nieprzyjaciela pochwyci. Chodziło mu o zbadanie, co się z obrazami stało, gdyż płótna tych rozmiarów nie dadzą się tak łatwo ukryć. Jeżeli więc nie będzie można ich odszukać, można przynajmniej dowiedzieć się, którędy zostały uwiezione.

Beautrelet przypuszczał, że rzeczywiście wywiezione były automobilem, że następnie przeładowano je na inny i przewieziono wyżej lub niżej rzeki od Caudebec-en-Caux. Były bowiem dwa promy, jeden wyżej rzeki w Quillebeuf, przejazd bardzo uczęszczany, dla tego niebezpieczny. Niżej rzeki znajdował się drugi prom w la Mailleraie, którym mało kto przejeżdżał.

Koło północy Izydor stanął w la Mailleraie, w oberży nad brzegiem rzeki. Do dnia był już na nogach i rozpytywał przewoźników. Przejrzano spis pasażerów, lecz żaden automobil nie przejeżdżał pamiętnego dnia 23 kwietnia.

— W takim razie wóz drabiasty lub frachtowy — poddał Beautrelet?

— Również nie.

Całe rano wypytywał rozmaite osoby i miał właśnie jechać do Quillebeuf, gdy chłopiec z oberży, w której nocował, przystąpił do niego i rzekł:

— W ten dzień rano widziałem wprawdzie wóz, ale ten nie przejeżdżał promem.

— Jakto?

— Nie. Przeładowano znajdujące się w nim przedmioty do łodzi, która opodal stała na kotwicy.

— A wóz ten do kogóż należał?

— Oh! poznałem go, właścicielem jest niejaki Vatinel, powoźnik.

— Gdzie mieszka?

— We wsi Imbleville.

Izydor wyjął swoją mapę. Imbleville znajdowało się na skręcie szosy z Yvetot de Caudebec-en Caux. Z tej wsi prowadziła przez las polna droga de la Mailleraie.

Koło szóstej wieczorem, udało mu się odszukać mistrza Vatinela. Był to typ starego Normandczyka, milczący, podejrzliwy, nie ufający obcym, a który mimo to nie może się oprzeć na widok monety i kieliszka.

— A jakże, panie, tego rana obstalowali mnie ci panowie na skręcie szosy o godzinie piątej. Oddali mi cztery wielkie maszyny. Jeden z tych panów towarzyszył mi, i tak przewieźliśmy je aż do łodzi.

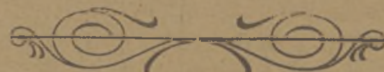
— Mówisz o tych panach, jak byś ich dobrze znał.

— Z pewnością, że ich znam. To już po raz szósty jak dla nich jeździłem.

Dreszcz wstrząsnął Izydorem Beutrelet.

— Mówisz po raz szósty?... A od jakiego czasu?

(Ciąg dalszy nastąpi.)





Wśród walki z losem.

15) Wolny przekład z angielskiego przez **S. B.**

Walenty Merrick niespokojnemi krokami przemierzał swój pokój. Rezultat jego rozmowy z Percym nie zadowolnił go wcale. Wpływ, jaki Helena Barklay wywarła na życie młodego człowieka, budził poważne troski. Że odrzuciła rękę Percego, widział w tem tylko nowy dowód jej chytrości, mającej na celu to, by słabego młodzieńca więcej jeszcze do siebie przywiązać, i użyć go jako środek, za pomocą którego odzyskiwałaby napowrót wstęp do świata. Im się dłużej nad tem zastanawiał, tem się silniej w tem przekonaniu utwierdzał, jakkolwiek to i owo nie zupełnie mu było jasnem. Poczęły się w nim budzić jakoweś wątpliwości, z których sobie zdać sprawy nie umiał, a które mu podejrzaną ową kobietę wobec jej smutku i idealnej piękności przedstawiały jako zagadkę, na rozwiązanie, której rozum jego nie starczył.

— Niebezpieczna w najwyższym stopniu — mówił sam do siebie — tem niebezpieczniejsza teraz, gdy rzeczy tak stanęły. Muszę Percego ratować pomimo jego woli, ona nie powinna żyć w jego pobliżu, trzeba koniecznie ich rozłączyć.

Ona mądra i wyrachowana, on słaby aż do głupoty. Jak tu gorąco tej nocy, niepodobna prawie oddychać przy zapuszczonych sztorach i pozamykanych oknach; Percy miał słuszność.

Otworzył okno, postawił lampę na stoliku umieszczonym we framudze okna i rzucił się na krzesło. — Ciekawym, czy też będę wyglądał, jak upiór, jak poprzednio Percy — mówił dalej, a pochyliwszy się naprzód i zapaliwszy cygaro otworzył nieszczęsne dokumenta.

— „Proces Heleny Barklay,“ — przeczytał głośno tytuł artykułu w gazecie. — Proces Heleny Barklay! — Jeżeli tenże na kobietę niewinną sprowadził nędzę i niedolę, jemu natomiast przyniósł sławę i powodzenie, albowiem od tegoż czasu praktyka jego poczęła wzrastać olbrzymio. Był to człowiek, który szybkim krokiem dążył do wyniesienia, a osobliwym sposobem owa kobieta przyczyniła się mimo woli, by mu drogę do tego wyniesienia znacznie ułatwić. Tak rozmyślając upuścił papiery na kolana i tak się w swej zadumie pogrążył, że zapomniał o swem cygarze, które tymczasem zgasło i musiał je na nowo zapalić, zanim się wziął na nowo do czytania. Ponieważ rzecz, o której pisma traktowały, znał na wylot, czytanie wkrótce ukończył. Wszystko było jasnem i dowiedzionem: przyczyna, pobudki, pokusa i zbrodnia. Tutaj chodziło o kobietę, która się stała bogatą, niezmiernie bogatą, a która jednym zamachem uwolniła się od gniotącego ją jarzma.

— Gdyby Michał Barklay nie był takim tyranem — myślał Walenty — toby jego żona nie była tak łatwo uszła ręki oprawcy. Tak, gdyby smok otruł był Wenus, a nie Wenus smoka, to biedny Barklay byłby dyndał na szubienicy tak wysoko jak Aman; to pewna. Ale Helena, niezrównana, boska Helena, ta uszła cało.

Związał napowrót papiery czerwonym sznurkiem. Odczytał je dokładnie nie napotkowszy nigdzie na żaden punkt budzący jakiekolwiek wątpliwości. Wszystko było jasnem i udowodnionem; nie dziw więc, że biedny Percy tak był zgnębiony twierdzeniami, których zbić nie mógł. Walenty Merrick powstał i przeciągnął się, a rzuciwszy resztę cygara wychylił się oknem, chcąc rzucić jeszcze jedno spojrzenie na rozkoszny nocny krajobraz. Owiane lekką mgłą trawniki i oblane lazurowem światłem księżyca połyskiwały przed jego oczyma tysiącami dyamentów i jeżeli ten widok nie wywołał w piersi jego uczucia zachwytu i uwielbienia, to natomiast wyrwał z ust jego grubą klątwę. Do djabła, co to ma znaczyć? — zawołał — ujrzawszy Percego idącego spiesznym krokiem w kierunku Weddercombe. Tak, to był Percy, nie mylił się wcale. Widok Percego Andison wykradającego się w ten sposób z domu, gdzie każdy był przekonany, że zasypia w najlepsze, zabolał go mocno. Więc już przyszło do porozumienia i schadzek. Nikczemna kobieta korzystając z jego niedoświadczenia wabi go do siebie, a on łatwowierny, jak dziecko, rzuca się na oślep w przepaść. Nie, do tego przyjść nie powinno, do tego on nie dopuści, Percemu naprzekór ratować go musi. Cokolwiekbądź nastąpi, nie myślał o tem, w każdym razie musi on w to wkroczyć dla Percego, dla Flory dobra. W rozpaczliwych wypadkach chwytamy się rozpaczliwych środków.

Zgasił światło, chwycił za kapelusz i spuścił się oknem do ogrodu nie pomyślawszy nawet nad tem, w jaki sposób za powrotem do domu się dostanie. Miał teraz jednę tylko myśl, by stanąć pomiędzy Percym Andison a Heleną Barkley i schwycić ich na gorącym uczynku. Przedewszystkiem musi dogonić Percego i przywieść go do rozumu, jeżeli Percy do rozumu wogóle przywieść się da. Lecz w ciemnościach zalegających park po większej części, wkrótce Percy znikł mu z przed oczu. Ten ostatni jako miejscowy znał dokładnie położenie, co Walentemu dopiero przyszło na myśl, gdy się znalazł w gęstych zaroślach. Wydostawszy się na wolniejsze miejsce rozejrzał się na wszystkie strony, lecz daremnie, nigdzie nie dojrzał śladu ludzkiej istoty. Szedł więc dalej z mocnem postanowieniem nie wracania prędzej, dopóki nie dopnie swego celu, rzucając w koło siebie bacznem okiem. W Weddercombe znajdzie go z pewnością, gdzie żyła ta owa kobieta morderczyni swego męża, która teraz głosiła swą niewinność kłamaną. Przeskoczył parkan oddzielający posiadłość sir Andisona od posiadłości Heleny Barklay i szedł śmiałym krokiem naprzód. Przypomnienie spotkania się poprzedniego rana z Heleną poprowadziło go w pewnym kierunku i instynktownie obrał drogę do domku gajowego.

Noc była jasna, niebo błyszczało miliardami gwiazd, tylko to, co otaczało Weddercombe, kryło się w cieniu, tak jak życie jego właścicielki. Drzewa stały tutaj tak blizko siebie, że poza splecione ich konary światło księżyca przedrzeć się nie mogło, i tylko spojrzawszy w górę można było od czasu do czasu pochwycić błyskotliwy promyk gwiazdy.

— Znalazłszy się przed domkiem gajowego siadł na kłodzie sosnowej, na której rano siedział był z Heleną Barklay. Nie było to zbyt przyjemne i dogodne miejsce do wypoczyn-

ku, gdy się zastanawiał nad tem wszystkiem, co przeszedł po powrocie swym ztąd do Hernley. Jeżeli sobie narobił nieprzyjaciół, to miejsce to nie koniecznie było pewnem i bezpiecznem. Wszakże przed niewielu dopiero godzinami powiedziała mu, że nawet w biały dzień nie dobrze byłoby dla niego tutaj się z nią spotykać, skoro ma to przekonanie, że ona nie oszczędzałaby życia nikomu, coby jej chciał wejść w drogę. Przypomniał sobie jej szyderczy uśmiech i wyzywające spojrzenie, a mimo to nie sądził o niej gorzej, ale musiał podziwiać jej odwagę i siłę woli. Tak siedząc nadsłuchiwał, czy nie usłyszy jakich kroków, lecz tylko szmer lekkim wietrzykiem poruszanych liści odbijał się o jego uszy. Czekał tak może z jaki kwadrans, gdy tajemnica wiążąca się z Weddercombe, od którego zdawała się być nieodłączną, przybrała nową postać i podraźniła jego ciekawość nie przestraszając go bynajmniej. Rzuciwszy bowiem przypadkowo okiem na domek gajowego spostrzegł, że w tej samej chwili drzwi jego z wewnątrz zostały otworzone z przeraźliwym skrzypem, jak gdyby oddawna otwierane nie były. Było tak ciemno, że w pierwszej chwili nic dojrzeć nie mógł, prócz ciemniejszego punktu, który otwór drzwi sprawiał, wkrótce jednak z głębi cienia wyłoniła się wyniosła postać mężczyzny, która wprost ku niemu zmierzała. Walenty uważał teraz na czasie powstać, by być przygotowanym na wszelki przypadek i nieprzewidzianemu niebezpieczeństwu stawić czoło. Nie był on bynajmniej tchórzem, bez obawy rzuciłby się w jaskinią lwa. Nie myślał też wcale uciekać, musiał podjąć walkę i był do niej gotowy.

— Co pan tu masz do roboty? — zapytał nowo przybyły ostro.

— Co sprowadza pana w to miejsce, gdzie znajdować się nie masz żadnego prawa? — odpowiedział Walenty takim samym tonem.

— Ja mam tu interes do załatwienia — była krótka odpowiedź.

— Tak samo i ja.

— Do miss Shaldon? — zapytał nieznajomy zdziwiony nieco spokojem Walentego.

— Do miss Shaldon.

— To djabelnie osobliwe, jeżeli to jest prawdą — pomruknął nowo przybyły.

— Siadaj spokojnie, młody człowieku, nie zrobię ci nic złego.

— Bardzo to uprzejmie z pańskiej strony, bo jestem nadzwyczaj tkliwym.

Nieznajomemu lekki ton tej odpowiedzi nie przypadł widocznie do smaku. Usiadłszy bowiem obok Walentego zwrócił się ku niemu i rzekł groźnie: — Mógłbym jednak, gdybym chciał. Jedno uderzenie mej pięści byłoby wystarczającem, by takiemu jak pan, młodzikowi światło słoneczne zgasić na zawsze. Nie zwykłem przyjmować grubijaństw, czy to w grzecznych słówkach lub w formie żartu. Kto mnie obraża, robi to z własną swą szkodą; karmiono mnie długie lata goryczą i stałem się niebezpiecznym.

Słowa te nie brzmiały jako prosta przechwałka, pomimo rozdraźnienia czuć w nich było ból głęboki.

— Czy to pana więcej jeszcze nie obrazi, gdy go poproszę o cokolwiek ognia?

Nieznajomy wyjął z ust fajkę i podał Walentemu. Walenty wydobył cygaro i zapalając je od żarzącego się popiołu fajki, pociągnął parę razy silniej, niż tego było potrzeba, chcąc przy silniejszem świetle dojrzeć twarz nieznajomego. Już go był widział dawniej, pamięć go nie myliła; i ten człowiek grał także rolę w owej tragedyi, która się przed rokiem w Yorkshire była rozgrywała. W innym czasie i na innem miejscu byłby przeszedł mimo niego nie zwróciwszy nań uwagi. Ale tu, w Weddercombe. Przypomnienie było zbyt silnem.

— Teraz już mnie pan poznasz, gdy mnie gdzie zobaczysz — ozwał się nieznajomy.

— Znałem pana już przed rokiem; jesteś Artur Barklay.

Nieznajomy rzucił jakąś klątwę, włożył napowrót fajkę do ust i palił chwilkę milcząc. Wreszcie zwrócił się do Walentego i rzekł szorstkim, chrapliwym głosem: Jeżeliś pan był kiedy w Dornton-House, to niepodobna, abyś nie znał Artura Barklay. Nie lubił on się trzymać na uboczu i nie pozostawał w tyle za drugimi. Grał zapamiętale w karty, pił, robił zakłady, hulał i szalał porówno ze wszystkimi hulakami, jacy się tylko w Yorkshire znajdowali, trwonił pieniądze i pożyczał każdemu oszustowi, który z mądrem kłamstwem udał się do niego. Jesteś zapewne jednym z owej dawnej bandy, bo przeklętym niech będę, jeżeli cię przy tem świetle poznaję. Zdaje mi się jednak, że jesteś jednym z nich, wnosząc z twego zuchwalstwa i grubijaństwa. Jak się pan nazywasz?

— Merrick.

— Nie słyszałem tego nazwiska, a może też wypadło mi z pamięci.

— Być może.

— Gdzieżeśmy się ostatni raz widzieli?

— Przed sądem przysięgłych w Yorkshire, gdy Helena Barklay stawała oskarżona o zabicie męża.

— Bądź przeklętym, że mi o tem przypominasz! — wykrzyknął Barklay groźnym tonem i zwróciwszy się do Walentego tak gwałtownym ruchem, że ten uchylił głowę na bok, jak gdyby się obawiał, że go towarzysz jego za gardło pochwyci. — Jak możesz się pan ważyć, niby duch przeklęty przywoływać mi na pamięć okropności owych dni. Co to pana obchodzi? Jakież fatum sprowadza tutaj świadka tego, co się wtedy działo, by go stawić przed oczy tej kobiecie, która się tu ukryła.

— Powiedz raczej: Jakaż nieubłagana sprawiedliwość!

— Niechże i tak będzie. Jakaż nieubłagana sprawiedliwość — powtórzył Barklay usiłując przybrać obojętną postawę.

— Przypadek zdradził mi tożsamość osoby miss Shaldon z osobą wdowy po wuju pana. Wiedziałem naprzód, że do tego przyjść musi, jeżeliby ona — zrobił pauzę, a potem dodał prędko: — W jakim stosunku pozostajesz pan do niej i owej historyi? Jeżeliś pan przyszedł po to, by sprzedać za pieniądze swe milczenie, to nazwij mi swą cenę, a ja załatwię z tobą rachunek za tę nieszczęsną kobietę.

— I dla czego chcesz to pan zrobić?

— Nie wiem, być może, że przez wzgląd na pańskie uczucia — dodał i zaśmiał się brzydko. — W każdym razie chciałbym jej oszczędzić hańby takiego spotkania. Gdy ją zobaczę, co prawdopodobnie nastąpi, to powiem jej przynajmniej, żem jej wyświadczył przysługę.

— Nie przyszedłem tu po to, by żądać zapłaty za zachowanie milczenia — odpowiedział Walenty coraz bardziej zdziwiony zachowaniem się towarzysza. — Pomiędzy mrs. Barklay a mną dawno nastąpił obrachunek.

— Możeś pan do tego stopnia nierozumny, że zostałeś jej kochankiem? — pytał dalej Barklay i pochyliwszy się naprzód czekał na odpowiedź.

— Nie, przyszedłem tu tylko w interesie przyjaciela i chcę mrs. Barklay udzielić mej rady.

— Tu na tem miejscu?

— Tak, sądzę, że niezadługo tędy przechodzić będzie.

— Możnaby pana łatwo wziąć za waryata. Muszę przyznać, że to była moja pierwsza myśl, gdym pana z tego tutaj domku ujrzał. Jakim sposobem miałaby ona o tej porze przechodzić tutaj?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIENNIK ZWIĄZKOWY
„ZGODA“
ORGAN ZWIĄZKU NAR. POL. W STAN. ZJEDN. PÓŁN. AM.

Jedyne, polityczne, niezależne pismo polskie za Oceanem, kierujące opinią publiczną i wywierające olbrzymi wpływ na stosunki polsko-amerykańskie.

TRZY WYDANIA: **Codzienne wydanie.** Tygodniowe dla mężczyzn. Tygodniowe dla kobiet.

Dziennik Związkowy „ZGODA“, powinien się znajdować we wszystkich lokalach publicznych w kraju, jako najlepszy informator we wszelkich sprawach odnoszących się do Polaków za Oceanem.

8 stron, 28 kolumn oryginalnego tekstu codziennie.
Prenumerata wynosi rocznie dol. 4,80 ct. Półrocznie 2,40. Kwartalnie 1,20.
Na żądanie wysyłamy numery okazowe. Wszelkie listy i przesyłki pieniężne adresować należy: Dziennik Związkowy „ZGODA“ 102—104 W. Division str. Chicago, Ill. s. U. S. N. Am.

CYRKULACYA 100,000 EGZEMPLARZY.

Najpopularniejsze Czasopismo w Stanach Zjednoczonych prawdziwie odzwierciadlające życia polskiego w Ameryce. Zasilane stale interesującemi korespondencyami z każdego zakątka emigracyi polskiej w Ameryce. Największy i najstaranniej redagowany dziennik polski na obczyźnie.

Około
500
gotowych
warkoczy
i
1000-ce
innych dodatków włosowych stale na składzie poleca



SALON de PARIS
St. Kaczmarek
Rycerska 2, przy pl. Wilhelm.
Skład fryzyerski tylko dla pań
(dla panów osobny skład obok.)
Kobieca usługa. Panie nie potrzebują się węc absolutnie krępować. 449
Brązowe znaczki rabatowe. Zamiejscowym rabat w gotówce.

Baczność!
Jedyny polski
zakład fotograficzny
w Poznaniu 103
w ręku fachowca.
S. STOLSKI
Poznań, ul. Szeroka 20 parter.
Telefon 790.
SPECYALNOŚĆ:
Portrety w wykonaniu artystycznem.

St. Klupieć, Poznań, ul. Szeroka 1



Jedyny na tym stopniu istniejący
432 zakład zegarmistrzowski, złotniczy i rytowniczy.
Wielki wybór **zegarów, zegarków,** wszelkiej **biżuteryi** złotej i srebrnej **sztućców i zastaw.**

Kasa oszczędności
Banku Rolniczo-Przemysłowego
Kwilecki Potocki i Sp.

przyjmuje na oprocentowanie wkładki każdej wysokości od **1 marki** począwszy, płacąc od **3 do 4½ proc.** wedle umowy. 33

Hurtownie

Polecam po najtańszych cenach li tylko w wyborowych gatunkach
Smalec topiony z doprawą bardzo smaczny, czysto wieprzowy
Smalec surowy, czysto wieprzowy do przetapiania, pieczenia, smarzenia i gotowania
Smalec swojski bez doprawy, niedorównanego smaku i gatunku 430
Emjot z doprawą, zastępuje zupełnie smalec topiony pod względem smaku i zapachu i jest do 14 mk. na cetnarze tańszy, składa się tylko z tłuszczy spożywczych, mój własny fabrykat, jedyny polski tego rodzaju nagrodzony na wystawie przemysłowej złotym medalem.
najlepszy fabrykat

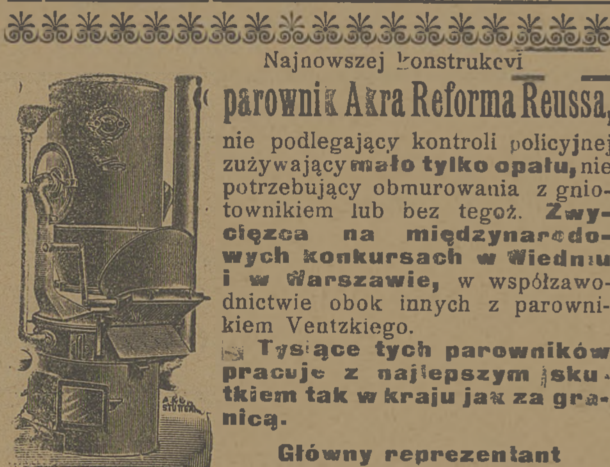
M. JEZIERSKI
Tel. 470 Poznań (Posen) Tel. 470
ulica Południowa 4 (Südstrasse 4.)
Jedyna Polska Parowa Warzelnia Smalcu i Fabryka Tłuszczy Spożywczych.
Najtańsze źródło zakupu dla sprzedających z drugiej ręki.

Poznań, Rycerska ul. 15.

Zakład leczniczy dla chorych

na nerwy i na cierpienia przewodu pokarmowego (przełyku, żołądka, kiszek, wątroby) **włącznie chorób przetwarzania się materyi** (otyłości, choroby cukrowej, podagry, bladaczki etc.) w połączeniu **z zakładem wodoleczniczym. Kuracye dyetyczne. Kąpiele elektryczne z prądem zmiennym i faradycznym. — Masaż wibracyjny elektr. i ręczny.** [2
Kąpiele elektryczne świetlane.
Kąpiele wszelk. rodzaju. Gimnastyka szwedzka.
Dr. Zakrzewski. Dr. Panieński.

Najnowszej konstrukcyi



parownik Akra Reforma Reussa,
nie podlegający kontroli policyjnej zużywający **mało tylko opału,** nie potrzebujący obmurowania z gniotownikiem lub bez tegoż. **Zwycięzca na międzynarodowych konkursach w Wiedniu i w Warszawie,** w współzawodnictwie obok innych z parownikiem Ventzkiego.
Tysiące tych parowników pracuje z najlepszym skutkiem tak w kraju jak za granicą.

Główny reprezentant na W. Ks. Poznańskie.

Adres do listów **A. Bryliński Poznań-Posen.** — **A. Bryliński** — Adres do telegr. **A. Bryliński Posen**
Telefon nr. 69.
w Poznaniu, ul. Rycerska nr. 14.
Skład machin i narzędzi rolniczych wszelkiego rodzaju. Wielki zapas części do pługów i machin rozmaitego systemu, jako też pracownia do naraw. 147

Specyalna oferta!
Wszystkie towary polepszone po znanych tanich cenach.
Polecam specyalnie:
Kakao (gwar. czystość) funt 1.20, 1.60, 2.00, 2.40.
Proszek czekoladowy funt 60, 80, 1.00, 1.20.
Keksy maślanne funt 60, 1.00, 1.20, 1.60.
Pralinki nadziewane funt 80, 1.00, 1.20, 1.60.
Pralinki warszawskie funt 2.00, 2.40, 3.00, 4.00.
Cukierki deserowe funt 60, 1.00, 1.20, 1.60, 2.00.
Czekolada łamana (czysta) funt 90 fen. i 1.20.
Czekolada śmietankowa funt 1.40, 1.60, 2.40.
Karmelki owocowe funt 40, 60, 80.
Karmelki owocowe nadziewane funt 1.00, 1.20
Karmelki piersiowe funt 60, 80, 1.00.
Sok malin. czysty funt 50 f.
Kawa Wiatraka funt 1.00, 1.10, 1.30, 1.50, 1.70, 1.90 i 2.10.
Stefan Prądzyński,
Poznań, Stary Rynek 59/60, wchód z ul. Wrocławskiej, Stary Rynek 91, wchód z ul. Wronieckiej i Chwaliszewo nr. 1 przy moście.
Pan **Józef Balcer** objął sprzedaż moich wyrobów na Księstwo Poznańskie i gwarantuje za sumienne i szybkie załatwienie wszelkich zamówień. Wysyłki na prowincyę uskuteczniamy z interesu głównego Stary Rynek 59/60. 356
! Od 6-ciu marek przesyłka franko !

Zakład dentystyczny
„Reform“
E. Karlewicz
Poznań, ul. Wrocławska 20
(przy placu Piotra.) 355
Wykonanie pierwszorzędne.
Ceny nader umiarkowane.
Operacye zębów bez bólu.
Honoraryum według umowy.



MEINEL & HEROLD,
401 fabryka harmonik
Klingenthal (Sachsen) nr. 181.
odstaw. uzn. za najl. harmoniki.
10 kl. 2 chór. 50 głcs. 4,50 m. i 5,—
10 „ 3 „ 70 „ 6,— „ 17,—
10 „ 4 „ 90 „ 7,25 „ 19,—
Szkoła i kista z drzewa darmo. 2, 3, 4, 6 i 8 chórowe i 1, 2, 3, 4 rzędowe **harmoniki** w 200 m., dobre i tanie. Specyaln.: **Harmoniki na wzór wiedeński,** harm. ust., bandoniony, gitary, cytry gitarowe, skrzypce, cytry, okariny, pozytywy, flety.
Gwarancya: Odbiór i zwrot pieniędzy. Przeszło 8000 urzęd. potw. listów dziękczynnych.
Główny katalog każdemu darmo.

Prosimy odciąć i podać znajomym do przenumeraty.

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonniert hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das I. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,50 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,50 M. erhalten zu haben, bescheinigt

.........., den .... 1910.

Kaiserl. Post ....

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonniert hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das I. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,50 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,50 M. erhalten zu haben bescheinigt

.........., den .... 1910.

Kaiserl. Post ....

Prosimy odciąć i podać znajomym do prenumeraty!

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonniert hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das I. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,50 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,50 M. erhalten zu haben, bescheinigt

.........., den .... 1910.

Kaiserl. Post ....

Preparaty arystokratynowe

nadają twarzy świeżość, młodość i piękność.

Czerwone i popękane ręce

stają się po użyciu

Kremu Arystokratynowego

śnieżno białe i delikatne.

Krem Arystokratynowy nader przyjemny w użyciu, gdyż nietłuszczący. 454

Do nabycia wszędzie.

Chem. Laboratoryum

Z. Rittera Nast.

Poznań, św. Marcin 20.

Klinika prywatna

Dr. Pomorskiego

dla chorych na cierpienia chirurgiczne i ortopedyczne, dla chorych na cierpienia pęcherza i dla chorób kobiecych.

Poznań, Plac Piotra nr. 4

(Petriplatz) 208

TELEFON 893.

Szkoła tańców.

P. Mikołajczak.

Półwiejska 31 parter.

Nowe kursa

rozpoczynam w początkach stycznia. 530

Udzielam lekcyi osobnych.

Zamiejscowych uczę w dwóch dniach kontr dansa, mazura i kilka tańców wirowych.

Zgłoszenia od 11—5 i 8—½10 wieczorem.

Inżynier dypl.

Maryan Kryzan

rzecznik patentowy.

(Patenty znaki ochronne i t. d.)

Poznań, Rycerska 33. Telefon 2650

Brazylia. Informacyi o tym kraju udziela autor **„Przewodnika dla wyjeżdżających do Brazylii“** za nadesłaniem dwóch marek pocztowych jakiegokolwiek kraju.

Adresować: **Fel. Bern. Zdanowski, Wien VIII/2, Laudongasse 57.**



Kto szuka:

pracy,
posady,
służby,
mieszkania,
zbytu towarów,
reklamy wyrobów
dzierżawy,

kto potrzebuje:

rządzców,
urzędników,
ekonomów,
leśniczych,
pomocników,
pokojówek,
kucharzy,
kucharek,
służby,

kto chce:

nająć mieszkanie, kupić lub sprzedać majątki, goścince, handle, gospodarstwa itd., pożyczyć pieniędzy, lub podać cośkolwiek do wiadomości ogółu

najlepiej i najtaniej uzyska to przez

ogłoszenia w „Pracy.“



Zakład dentystyczny.

Praktykuje od r. 1889.

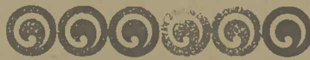
Wprawianie sztucznych zębów. Plomby.

Zatruwanie nerwów i leczenie chorych zębów. 507

J. Czerwinski

Poznań, św. Marcin 53.

Dom ogrodowy I p.



Meble

po jak najniższych cenach **li tylko rzetelny towar.**

W. Mierkiewicz 271

Mistrz stolarski

W. Garbary 40

(narożnik Grobli.)

Przystanek koleji elektr

Karty wizytowe

od 1,50 mk. począwszy

poleca

Drukarnia „Pracy“

Rycerska 38.

Świece gromniczne

w wielkim wyborze

poleca 437

po znanych tanich cenach

detalicznie i hurtownie

Centralna Drogerya

J. CZEPCZYŃSKI,

Poznań,

Skład detaliczny: **Stary Rynek 8**

Telefon 324.

Magazyny hurtowne: **Południowa 3**

Telefon 23?.

„WIARUS POLSKI“

162

Codzienne pismo ludowe, poświęcone oświacie, oraz sprawom narodowym, politycznym i zarobkowym

wychodzi sześć razy tygodniowo

nakładem p. Jana Brejskiego

i ma dodatek religijno-powieściowy pod tytułem

Posłaniec Katolicki

redagowany przez misyonarza polskiego na wychodźtwie

„WIARUS POLSKI“ jest pismem na wskroś katolickiem i narodowem a opierając się na szerokich kołach ludu polskiego broni energicznie jego interesów i szczegółowo zajmuje się sprawami społecznemi. Podaje też wiadomości o nabożeństwach polskich, o posiedzeniach, o pracy licznych na obczyźnie towarzystw i t. d. i t. d.

Przedpłata wynosi

bez odnoszenia

na 3 miesięce . 1 mr. 50 fen.
na 2 miesiące . 1 mr. —
na 1 miesiąc . — 50 fen.

Za odnoszenie płaci się 14 fen. miesięcznie

Numery okazowe wysyła się darmo i franko za zgłoszeniem się pod adresem:

— WIARUS POLSKI, BOCHUM —

Przy zamówieniach prosimy powoływać się na ogłoszenia „Pracy“.

Nakładem i drukiem „Pracy“ Drukarni Nakładowej Sp. z ogr. p. — Redaktorzy odpowiedzialni: Za dział polityczny, wiadomości i dział illustrowany p. Bolesław Rakowski z Poznania, za dział ogłoszeń p. Wincenty Szmytkowski z Poznania.